

Ludwiku,
do rondla
str. 2

Łódzkie festyny
w krzywym
zwierciadle
str. 3

Na tropie
wielkiej fortuny
Konrada Brandta
str. 4

Antwerpia
czyli tajemnice
wielkich
bogaciw małej
Belgii
str. 9

Ludzie
spoza nawiasu
str. 10

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 4 października 1959 r.

KONRAD FREJDLICH

Niech będzie pochwalony AUTOSTOP

Siedemdziesiąt tysięcy autostopowiczów, siedemdziesiąt milionów kilometrów! Nigdy, jak Polska Polską nie widziano takiego ruchu turystycznego. Śniadanie w Krakowie, obiad w Łodzi, kolacja na Wybrzeżu. Piękna nasza Polska cała! Siedemdziesiąt tysięcy młodych i starych na budach ciężarówek, marzenia dalszych stu tysięcy. A wszystko za dwadzieścia pięć złotych, od lat szesnastu. „Nie bój się, mamo, tutaj się uchowałam, to i tam się uchowam” — rzekły poniekąd dziewczęta swoim rodzicielkom. „Nie martw się, moi drodzy, dotąd nie chorowałam, to i tam nie zachoruję” — rzekły młodzieńcy stroskanym tatusiom. I „szafa gra”!

W Budzynie czternastoletni chłopcy wyrwali sztachety i rozbijali stragany z jabłkami. Podobno gdzieś tam grupa wyrostków wyszła na szosę nago i w ten sposób próbowała zatrzymać auta. W domach noclegowych PTT-K dziewczęta masowo przechodziły do sal chłopców.

Co więcej, jakimś tam redaktorowi „Życia Warszawy”, ktoś tam, mówiąc delikatnie, zwęził plecak. Wtedy ów redaktor stołeczny a za nim nasz rodzimy, proletariacki „Express” grzmieć poczęli. Wnioski oczywiście jedne — zlikwidować ten cały bałagan, oczyścić szosy z plugastwa.

DOBREGO ROKU
AKADEMIKOM ŁÓDZKIM

zyczą
ŁÓDZKIE „ODGŁOSY”



„Pstrąg” o tym, jak to w Tuluzie bywało — str. 5

Trzeba jednak stwierdzić, że nikt autorytatywnie nie dowiodł, iż to właśnie autostop wyzwała te najniższe, eż, instynkty. Bowiem wyrwanie sztachet zdarza się prawie po każdej zabawie w strażackich remizach, zabawy z podtekstem seksualnym w najlepszych domach, a w drówek dziewcząt do chłopców masowo w domach studentek. A nikt nie zakazuje zabaw, nikt nie próbuje likwidować „dobrych domów” i nikt nie zamyka akademików. A kradzieże zdarzają się przecież codziennie, na budowach, w piwni-

cach, w kolejkach, a nawet ministerstwach. Wtedy grzmieć, to chyba nie na autostop. Jeśli grzmieć, to chyba na taki czy inny profil filozofii młodzieży, taku czy inną koncepcję życia. A z tym wiąże się sprawa atmosfery w domu i szkole, na ulicy i nawet w redakcji „Życia Warszawy”.

A autostop?... Autostop jest zjawiskiem społecznym i jako taki ma swoje złe i dobre strony.

Siedzę teraz w rowie przydrożnym. Czas liczy się tu ilością przejeżdżających samochodów. Plecak cięższy o ileś setek przejechanych

AUTO
STOP

Dalszy ciąg
na str. 7

AUTO
STOP

ANDRZEJ MAZUR

Harcerzu, czy ci nie żal...



W grudniu 1956 r. harcerstwo wróciło do życia. Odbywało się to przy akompaniamencie werbli, w atmosferze doskonałej kompensującej wiele niewyżytych, tłumionych ambicji. Każdy, kto czuł potrzebę zbawienia ojczyzny, a miał choćby trzymiesięczny staż w przedwojennych „Zuchach” śpieszył do harcerstwa z radą i pomocą.

Tej wielkiej manifestacji dobrej woli dorosłych towarzyszył, niestety, odwrotny proces u młodzieży. Jej szeregi systematycznie topniały. Topniały wbrew ogromnemu kredytowi zaufania

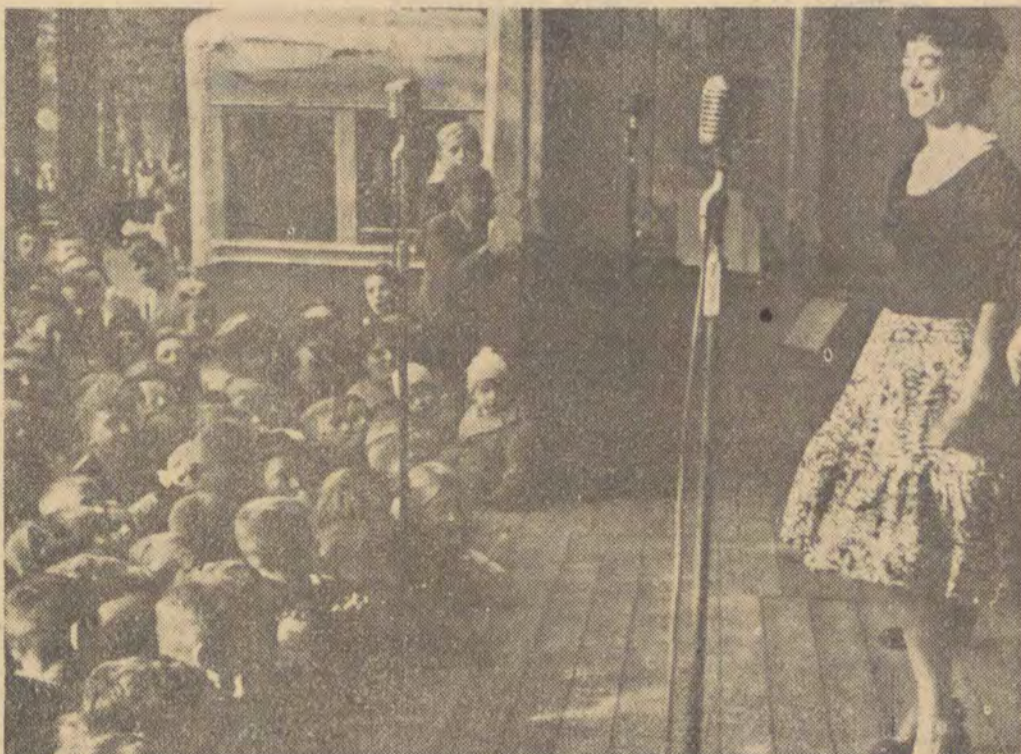
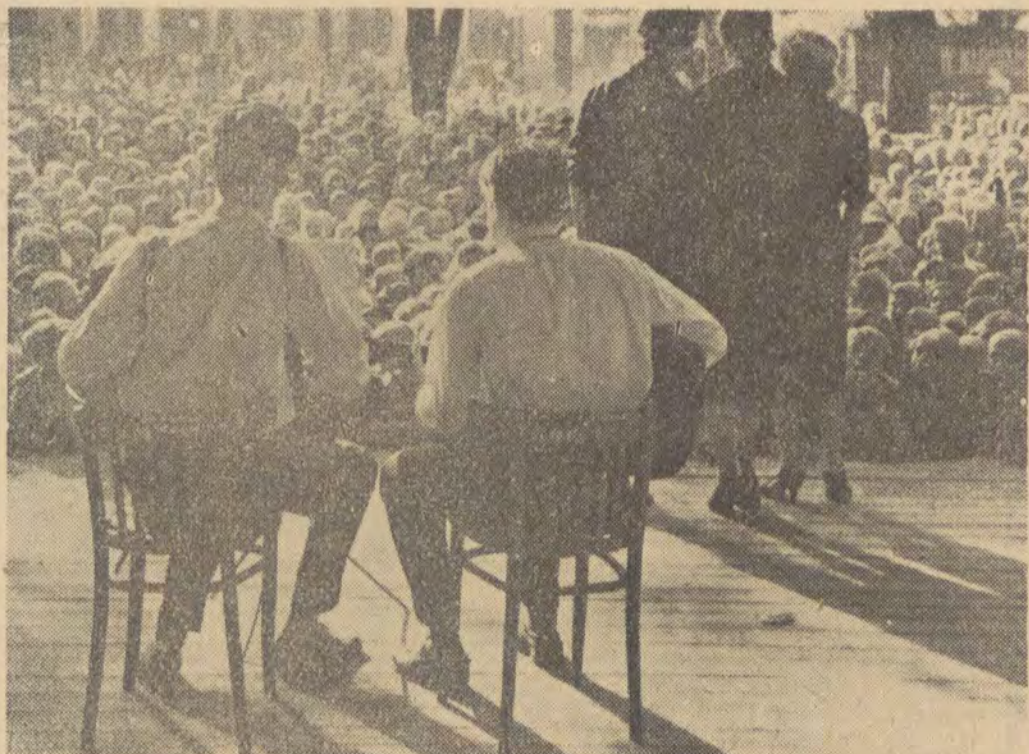
społecznego, z jakim harcerstwo rozpoczynało pracę. Może to zobrazować następujący ciąg liczb odnoszących się do Łodzi: 1956 rok — około 24.000; 1957 r. — ok. 12.000; 1958 r. około 9.000; 1959 r. — 6.500. W stosunku do 1956 roku harcerstwo łódzkie zachowało więc niewiele ponad czwartą część swego stanu. W skali krajowej ten odpływ miał mniej drastyczne rozmiary, jest wszakże faktem, że i tu straty (w miastach) wyrażają się liczbą 100.000 młodzieży.

Równocześnie z ubytkiem bezwzględny zaistniało inne niepokojące zjawisko. Staż pracy harcerskiej wynosi obecnie przeciętnie około jednego roku (dane z Łodzi). Tymczasem metoda harcerska zaczyna prawidłowo funkcjonować dopiero

wtedy, kiedy rozbudza ambicję posuwania się wwyż po szczeblach organizacyjnych. Takie szczeble są przynajmniej cztery obliczone dla okresu 11—16 lat. W „skomplikowanej, bogatej metodyce harcerskiej” ten „roczny staż” to zaledwie początkowy epizod, zapoznawczy fragment „życia po harcersku”. Może on młodzieży dostarczyć kilku wzruszających przeżyć, ale nie jest w stanie wychować. A w każdym razie nie zachowuje proporcji: założenia

Dalszy ciąg
na str.

6



ŁÓDZKIE FESTYNY

w krzywym zwierciadle



TEKST:
Tadeusz Papier

ZDJĘCIA:
Wacław Biliński



Dlaczego w krzywym? Czy dlatego, że chciałbym poszukać tutaj taniej przygody? O nią, ostatecznie, nie trudno. Młoda kelnerka powiada: „Jest dość ładnych kobiet. Zazdrosna żona nie dowie się o niczym”...

Gdybyż tylko o to chodziło. Ale ja przyszedłem na festyn. Na festyn ludowy, jak zapowiadały gazety. Przyszedłem z całą rodziną, żoną i dziećmi. Zapłaciłem bilety wstępu, po 2 złote na osobę. Wyczytałem, że dochód przeznaczony jest na SFOS. Miło mi się zrobiło, gdy wszedłem na teren parku hełnowskiego zobaczyłem tłum ludzi. Na drzewach wisały kolorowe hasła: budujemy, dajemy itd. To bardzo ładne. Stara, drewniana muszla koncertowa otoczona jest szczelnie widzami. Na scenie tańczą dwie pary z baletu Harnama. No, ładnie. Potem wysiępuje żeński tercet. Owszem, bardzo miłe. Potem śpiewa Danusia Karczewska. Znam ją tylko ze słyszenia. Też bardzo ślicznie i bardzo

wdzięcznie. Potem para tancerzy w „salonowym” tańcu. Na tym się nie znam. Widzę tylko pływające floresy. Raz mnie raża, a raz nie. Potem „zgaduj zgadula” dla najodważniejszych. Spiker pyta: „Kiedy powstał SFOS?” Jeden z odważnych milczy. Wtedy spiker podpowiada. Następne pytanie: „Co zbudowano za te pieniądze?” Odważny milczy. Spiker mówi szeptem, ale dzieci mają niesłychaną zabawę: „No, trasa W-Z, pomniki, stadion Dziesięciolecia”. Odważny powtarza: „Stadion...”. „Proszę państwa — powiada spiker do publiczności — ten pan jest wielkim miłośnikiem sportu i zwrócił uwagę przede wszystkim na stadion...”. Dzieci bardzo się śmieją. Spiker spędza ze sceny odważnych i zapowiada, że konkurs zostanie powtórzony kiedy indziej. Na służbie. Idziemy do kawiarni, która do godziny 18 otwarta jest dla gości festynowych. Od 18 aż do 23 jest tutaj dancing, i w tych godzinach można zdradzić żonę. Ale jeszcze przed

osiemnastą na scenę wychodzi orkiestra dęta. Słyszemy marsza, a potem walc, oczywiście „upojony”. W każdym razie robi się weselej. Ale, niestety! Tancerzy nie będę oglądał, sam nie będę tańczył. Daję sto złotych na SFOS, że nikt nie odważy się poruszyć nogą ni butem. Kurz po kostki.

Festyn, „dzień wesoły, publiczny”. Każdy dzień widział festyn zawołany. Brzmiał w nim spór głosów wdzięcznych na przemian... „Panoramy, menażerie, karuzele, młyny diabelskie, słupy dwunastometrowe z nagrodą na szczyście, kramy, tańce” — nie, nie z tego nie było i nie ma na naszych uroczystych festynach. Nie da się wskrzesić starych sztuczów przedstawiających roztańczone pary, zawodzących harmonistów, przygodnych śpiewaków: „Moja, Maniusz rymcium, pypelium...”

Rzecz prosta: jest rok 1959, a nie któryś tam przed pierwszą wojną światową. Młodzi ludzie mają ostatecznie gdzie się bawić. Kawiarnie przestały być miejscem spotkań „doborowej” publiczności. Nastąpiła demokratyzacja daningu. A jednak? Nie wdrypywałbym się z pewnością na oślisły słup, na którego szczycie wisi wiązka kiełbasy, ale chciałbym się bawie.

Zaluje, że nie umiemy organizować zabaw publicznych. Przecież mamy bardzo ciekawe tradycje na tym polu. Czy nie można wskrzesić festynu w jego dawnej, barwnej postaci?

Można. Po pierwsze, potrzebna jest duża podłoga do tańca. Taka, jak w zapadłej wioszczynie na tak zwanym „granlu”. Po drugie, potrzebny jest wodzirej. Po trzecie występy estradowców winny być pokazywane w tak zwanych antraktach między tańcami. Zabawa nabierze wówczas odpowiednich kolorów, albo tak zwanej „glebi”. Po czwarte trzeba pomyśleć o niespodziankach, które by nawet towarzysza sekretarza zmusiły do płasów. Po piąte...

Ależ ja nie jestem członkiem komisji kulturalno-estradowo-oświatowej w prezydium rady narodowej. Chce tylko zaznaczyć, że łodzianie lubią się bawić. Proszę tylko obejrzeć zdjęcia Wacława Bilińskiego. Nie różni wcale z festynów uroczystego zebrania delegatów do walki z czymś tam i o coś tam. Ani, jeżeli w założeniu jest to impreza estradowa, nie nazywajmy jej festynem.



JERZY DAGOBERT

PAMIĘTNIK SZPIEGA (V)

Powróćmy jednak do naszej pary. Pierwsze podejrzanie w stosunku do „Lorenza” powstało u mnie pod koniec 1942 r. w związku z następującą sprawą. Rzeczą najsurowiej zakazaną dla agenta jest dowiadywanie się o nazwisko swego „kontakta”. Jednakże „Lorenz” inaczej się zapatrywał na sprawy konspiracji. Nie dość, żeśmy się z jego winy (twierdził, że nie może opuszczać mieszkania) spotykali na terenie jego willi starał się na wszelki sposób dowiedzieć mojego nazwiska, adresu lub przynajmniej sposobu życia. Za każdym razem, gdy tam przychodziłem, „Lorenz”,

choć wiedział, że czas mój jest drogi, zmuszał mnie do zdejmowania wierzchniego okrycia i pozostawiania go w hallu. Procedura ta, jakkolwiek nużąca i połączona ze stratą czasu, nie wydawała mi się jednak początkowo podejrzana.

Pewnego razu przyszedłem tam późną jesienią 1942 r. Jak zwykle musiałem ulec, zdjąć w hallu palto i dać się zaciągnąć do salonu na lampkę wina.

Byłem i jestem nałogowym palaczem, toteż stwierdziwszy, że pozostawiłem papierosnice w palcie, chciałem pójść po nią. W tym momencie „Lorenz” wstrzymał mnie siłą niemal od

pójścia do hallu, częstując mnie papierosami, których nie paliłem. Nastąpiła nieprzyjemna pauza, podczas której „Lorenz” mocno trzymał drzwi, szukając klucza, ale go nie znalazł. Po chwili weszła „Laura” zaploniona i nieco zmieszana i siedliśmy z powrotem do stołu, jakby nic się nie stało.

Przemyślałem w spokoju całe zdarzenie i doszedłem do przekonania, że podejrzania moje nie są wytworem rozgorączkowanej wyobraźni. Byłem już w tym czasie dosyć doświadczony i ostry, i nie obawiałem się wcale, że ktoś by mógł coś niepotrzebnego znaleźć w kieszeniach mojego palta. Sprawilem sobie 2 ruchome kieszenie, które zawierały sobie z przodu od wewnętrznej strony spodni. W kieszeniach tych trzymałem wszystkie moje osobiste dokumenty, jak mój paszport i permis de séjour na moje prawdziwe nazwisko. Nosiłem tam zwykle również mój rewolwer — mój automatyczny 32. Czasami, naśladowując szpiegów z filmu, chowałem go na głowie pod kapeluszem, gdy sądziłem, że przyjdzie mi go użyć.

Chcąc „uprzyjemnić” „Laurze” jej zadanie oraz nie chcąc się zdradzić, że podejrzewam cokolwiek, napelnilem podczas następnych moich wizyt kieszenie mojego palta różnymi nie mówiącymi dokumentami.

Doniosłem natychmiast Centrali o moich podejrzeniach, ale odpowiedziano mi, że się mylę, że cierpię być może na manię prześladowczą, gdyż „Lorenz” i „Laura” to długoletni, lojalni pracownicy sieci i że jest rzeczą konieczną utrzymywanie z nimi osobistego kontaktu, gdyż w przeciwnym razie wiadomości ich będą nadchodziły z opóźnieniem do Londynu.

Argumentacja powyższa nie przekonała mnie, ale rozkaz Centrali jest rozkazem ostatecznym, więc chcąc nie chcąc kontynuowałem moje spotkania do czasu, gdy pewien wypadek przyczynił się raz na zawsze do zerwania naszego kontaktu.

Było to wczesnym latem 1943 r., gdy „Lorenz” i „Laura” przypuścili szturm do moich kieszeni. Normalnie przychodziłem na spotkanie do nich późnym wieczorem. Wówczas jednak zostałem powiadomiony, że „Lorenz” musi się ze mną zobaczyć już w porze obiadowej, gdyż wieczorem będzie za późno. Był upalny dzień, jeden z tych, kiedy człowiek przeklina miasto i marzy o górach i chłodnym, ciemnym lesie.

„Lorenz” powitał mnie gościnnie i zaprowadził do salonu, w którym było piekielnie duszno, tłumacząc, że pozamykał wszystkie drzwi i okna z obawy przed podśluchem. Wręczył mi kilometrowy meldunek, objaśniając, że jest to najważniejsza z otrzymanych dotychczas od „Lamberta” i „Barrasa” informacji. Były to wiadomości, dotyczące ruchów wojsk i przedstawiające rzeczywiście pewną wartość, gdyby były prawdziwe...

Informacja była niezmiernie rozwickła, usiedliśmy więc z „Lorenzem”, ażeby o czynić w niej konieczne skróty.



Oto jedyna, jak dotąd, realna część mitycznego spadku po kapitanie Brandt — ruiny młyna w Maminie pod Bibianowem przy drodze do Fajęcza.

KAROL BADZIAK

Na tropie wielkiej fortuny Konrada Brandta

Podjąłem apel „Odgłosów”, przyjąłem wezwanie red. Stefana Bratkowskiego i jako pierwszy Sherlock Holmes mam przyjemność zrelacjonować rewelacyjne wyniki pierwszego etapu Wielkiego Śledztwa.

OBURZENIE RODU BRANDTÓW

Zamieszczony w nrze 38 (32) „Odgłosów” artykuł o wielkim spadku Konrada Brandta wywołał niespodziane reperkusje w rodzie jego potomków zamieszkałych na terenie Łodzi.

W ubiegłą niedzielę wszyscy członkowie rodu zwołali wielką naradę rodzinną. Narada trwała podobno kilka godzin, a jej przebieg był niezwykle burzliwy. W szczególności dostało się ponoć red. St. Bratkowskiemu, który jakoby miał zostać przekupiony przez Pinnów — samozwańczo pretendujących do wielkiego spadku, a przecież jedynie prawowitymi spadkobiercami winni zostać, jak samo nazwisko wskazuje Brandtowie.

Jak z tego wynika wkrótce zanoszą się na wielką wojnę dwóch wojowniczych rodów. Z uwagą będziemy śledzić jej przebieg i niewątpliwie w niedługim czasie podamy bliższe szczegóły tych frażujących zmagani. A jest o co walczyć.

BRATKOWSKI I BRYCHT — POPLECZNIKAMI PINNÓW

Wizja 7 milionów złotych talarów wraz z odsetkami: niejednemu z Was, drodzy Czytelnicy, spędziła sen z powiek. Podobno jeden z Brandtów strawił kilka miesięcy czasu na obliczaniu sa-

mych odsetek. Wysła mu tak astronomiczna liczba, że aż się przeraził i rozchorował.

W samej redakcji „Odgłosów” znaleźli się (o zgrozo!) zwolennicy Pinnów i jak nieoficjalnie wiadomo Andrzej Brycht wyjechał w nieznanym nam bliżej kierunku (prawdopodobnie do Janowa Lubelskiego i Białej Podlaskiej) na poszukiwanie Pinnów i odgrzązał się przy tym, że dostarczyć niezbitych argumentów iż właśnie oni powinni zostać właścicielami wielkiego skarbu. Wspominał również, że jeśli to nie wystarczy, to napisze dodatkowo „Sagę rodu Pinnów”. Na co autor niniejszego, gorący zwolennik (nie czytając poplecznika) rodu Brandtów zobowiązuje się napisać „Sagę rodu Brandtów”.

Poza tym codziennie odwiedzają redakcję szereg osób o nazwiskach zbliżonych do Pinnów jak Pitek, Pimko, Pindras itp., zgłaszając pretensje do mitycznego spadku. Oczywiście załatwiamy ich odmownie i wysyłamy do „Karuzeli”, natomiast z uwagą wysłuchujemy rozczeń osób o nazwiskach zbliżonych do Brandtów jak Bryndza, Brandys, Broda, Brysz i inni.

ZABALSAMOWANY KAPITAN

Jak nam wiadomo na owym niedzielnym zgromadzeniu Brandtów opracowano szczegółowy plan działania. Wybrano specjalnego pełnomocnika, który odwiedził redakcję „Odgłosów” i oświadczył co następuje:

Rodzina Brandtów już od 1912 roku prowadzi intensywne starania o spadek. W tymże 1912 roku niejaki Lessig ma-



Świadek pogrzebu ostatniego potomka Holendrów, na którym urzyna się ślad.



Przyszła właścicielka potężnej fortuny nie rezygnuje ze spadku.

Zdjęcia: Z. Walter



Legendarna dziś niemal „Linia Maginot”, chluba Francji i gwarancja jej doskonałego nastroju w miesiącach owej zadziwiającej wojny od września 1939 do maja 1940 roku. Rozbudowywana z wielkim hatasem, astronomicznym nakładem kosztów, była istotnie ostatnim słowem wojennej techniki. Jej twórca gene-

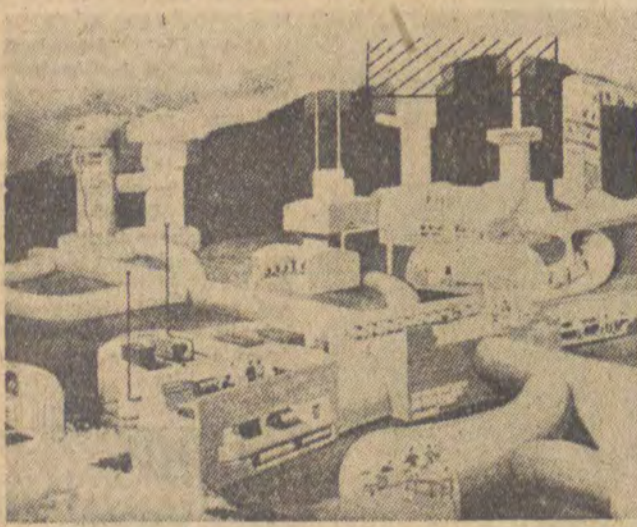
ral-inżynier Andre Maginot, umierając w roku 1932 pozostawił w spuściźnie obszerne plany przedłużenia pasa fortyfikacji. Na północy od granicy Luksemburga do Kanatu La Manche i na południu od granicy Szwajcarii do Morza Śródziemnego. Wnioski te, wbrew swej historycznej i politycznej słuszności, odrzucone zostały przez parlament francuski i to nie ze względu na koszty, a z racji pozostawienia neutralności Belgii, Holandii i Szwajcarii, których neutralność pośpieszyły również uroczyste zapewnienia... hitlerowskie Niemcy.

Historia powtarza się, mówiąc słowami Marksa, raz jako tragedia, drugi raz jako farsa. W 1914 roku wilhelmowskie Niemcy rozpoczęły ofensywę przeciw Francji pogwałceniem zagwarantowanej uprzednio neutralności Belgii i Holandii. Ową bez precedensu w stosunkach międzynarodowych akt skwitował kanclerz niemiecki historycznym dziś stwierdzeniem: „Układy są świstkiem papieru”. W 1940 r. Hitler powtórzył przeciw Francji dokładnie taką samą strategię, z tą różnicą, że nie siłił się nawet na cyniczny komentarz. W rezultacie dał satysfakcję zmarłemu generałowi Maginot, starannie omijając jego fortyfikacje.

W naszym „Kalendarzu” omawiającym chronologicznie wydarzenia sprzed lat dwudziestu wrócimy jeszcze do historii upadku Francji. Na razie stwierdzamy, zgodnie z opinią czołowych historyków II Wojny, że „opancerzona” granica francuska w Alzacji i Lotaryngii zniewoliła Francuzów, odebrała im szansę obrony zaczepnej — jedynego sposobu walki, którym mogli natychmiast pokrzyżować plany niezbyt silnego wówczas Hitlera.



Pojedyncze i niepozorne zgola kopuły bunkrów wspierały się na potężnie rozbudowanym systemie „podziemnego zaplecza” (górne zdjęcie odpowiada fragmentowi zakreślowanemu na zdjęciu dolnym).



(D. c. n.)

Brandtówny udał się za rodzinne pieczęcie do Holandii, skąd przywiózł herb i zdjęcie zabalsamowanego kapitana Brandta.

Na zdjęciu tym, które w tajemniczy sposób zginęło (ach ci Pinnowie!) kapitan miał perukę, włosy do pasa i był bardzo podobny do wujka — obecnie żyjącej pani Leokadii z Brandtów — Edmunda. Ów wujek Edmund zebrał już prawdopodobnie wszystkie potrzebne dokumenty, ale niestety, wybuchła wojna, a po jej zakończeniu w 1945 roku wujek zmarł. Możliwe, że przekazał je swej żonie, ale ta również przed paroma miesiącami zmarła.

KORESPONDENCJA DWÓCH PAŃ

Dla porządku pragnę nadmienić że Lessig odwiedził jeszcze raz Holandię w 1927 roku, kiedy to ukazał się w łódzkiej prasie z tego okresu anons van Meerscha. Spotkało się tam wtedy ponad 500 Brandtów z całego świata. Niestety, żaden z nich nie potrafił wiarygodnie udowodnić, że pochodzi w prostej linii od bogatego właściciela okrętów.

Wśród łódzkich Brandtów sprawa spadku odżyła na nowo w 1956 roku. Pani Leokadia otrzymała wtedy list (datowany 6. VI. 1956) od Lili Koch z Brandtów — pracowniczki placówki dyplomatycznej w Monachium.

Pisze ona: „Wyjeżdżam często do Holandii i natknęłam się tam na starą naszą sprawę, czy Wy nie chcielibyście jej z nami odnowić? Jeśli nie macie tych papierów (chodzi tu zapewne o papiery Edmunda Brandta (przypisek mój — K.B.) to musicie się na nowo o nie postarać? Mam nadzieję, że to możliwe. (K.B.) Dzisiaj o majątek Johana Konrada Brandta stara się bardzo wiele osób”.

Dodajmy, że na majątek ów składały się w przeszłości kolonie w Indonezji, plantacje kawy, kopalnie złota itp.

Korespondencja między dwiema paniami — Leokadią i Lili trwa w dalszym ciągu. W jednym z listów Lili Koch prosi p. Leokadię o fotografię kapitana, którą przywiózł do Polski Lessig.

Pani Leokadia wysłała do Niemiec na adres München 15, Goettestrasse 32, gdzie znajduje się rezydencja Lili Koch kilka odpisów aktów urodzenia i zgonów łódzkich Brandtów aż do swego prapradziadka (Gotlieba Brandta).

CZY POZNAMY IMIĘ PRAPRAPRADIADKA

Od odszukania imienia praprapradziadka zależy w tej chwili los fortuny.

A więc najpierw ojciec pani Leokadii Jan Konrad Brandt urodzony w roku 1892. Dziadek Henryk Brandt urodzony w 1848 r. w Słodowie, zmarł w 1930 roku. Pradziadek Jan Ludwik Brandt urodzony w 1804 roku w Babiańcu, zmarł w 1850 r. Na prapradziadku Gotliebie Brandt — ojcu Jana Ludwika — urywa się na razie łańcuch drzewa genealogicznego i dotychczas nie udało się nikomu dojść do Pnia.

Oto co mówi odpis z odpisu aktu zgonu o Gotliebie Brandt.

„Działo się to w Ozorkowie dnia 8 czerwca 1833 roku o godz. 10 przed południem stawili się Jan Battke, piekarz z Ozorkowa lat 56 i Jan Wulf — kolonista, lat 32, zom. w Bibianowie i oświadczyli: że w dniu 7 bm. o godzinie 5 po południu zmarł Gotlieb (Bogumił) Brandt lat 70 liczący, młynarz w Bibianowie zamieszkały. Po przekonaniu się naocznie o zejściu Brandta akt ten przeczytano stawiającym i przez świadka Battke został podpisany, Wulf pisać nie umiał. Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Łodzi.

Dyrektor Archiwum
(—) St. Rosiak

Jest całkiem możliwe że Gotlieb był synem ostatniego z rodu Brandtów, synem tego, który emigrował do Polski. Niestety, w odpisie odpisu który odszukaliśmy brak jest imienia ojca Gotlieba gdyż nie jest to akt zgonu ale tylko protokół zgonu. Od tego czy odnajdzie się dokument, w którym będzie imię ojca Gotlieba, zależy teraz cały dalszy przebieg sprawy spadkowej. Możliwości są trzy: albo odnaleźć akt zgonu Gotlieba (prawdopodobnie aktu takiego nie zrobiono), albo akt zawarcia związku małżeńskiego (miał dzieci mógł więc być żonaty, ale to nie pewnego!) albo aktu urodzenia (nie wiadomo jednak, czy urodził się już w Polsce, czy też przyjechał tu jako dziecko).

Jak widzimy jest to sprawa zawiślana ale to przecież nie znaczy, że szansa uzyskania spadku przez panią Leokadię i jej rodzinę równa się szansie wygranej w tolotce. Taka szansa istnieje naprawdę. Notabene pani Leokadia gra też w „Kukuleczkę”.

O podróży do Bibianowa i o historii Gotliebowego młyna w Maminie i ewentualnej podróży do Holandii, o adwokatach prowadzących sprawę i o machinacjach Pinnów, oraz o dalszych dziwnych losach ludzi i spadku czytając w najbliższych numerach „Odgłosów”. Wielkie Śledztwo trwa.



Studentka z Vietnamu

Tekst i zdjęcia:
WIESŁAW MACHEJKO

„PSTRĄG” o tym jak to w Tuluzie bywało

Dzień dobry! Mówię to z dużą satysfakcją, bo po pierwsze mam za sobą wiele dobrych, miłych dni, spędzonych na gościnnej ziemi francuskiej, a po drugie narazie jestem razem z wami

mi w Łodzi. Jak wam już wiadomo, uczestniczyłem w VII Międzynarodowym Festiwalu Studenckim w Tuluzie. O tym, że powiodło mi

się tam jako tako, pewnie słyszeliście, nie ma potrzeby tego powtarzać. Teraz chciałem przekazać wam kilka drobniaków przywiezionych z podróży.

JAK WZIĘTO NAS ZA AFANASJEFFA

W olbrzymim programie Festiwalu Studenckiego (papier kredowy) obok zapowiedzi występów „Pstraga” (OEUVRE DRAMATIQUE AVEC CHANSONS ET PANTOMIMES — MES-SIEURS, LE MONDE EST VERT par le THEATRE SATIRIQUE DES ETUDIANTS DE LODZ (POLOGNE), pomieszczono dwa zdjęcia mające rzekomo pochodzić w linii prostej od „Pstraga”, a tymczasem... o Jerzy Afanasjefie miły, są to zdjęcia z programu Twojego jednorodzinnego Cyrku. Ty le, że jest tam na jednej śnimce „pstragowy” reżyser, Twój szwagier, taki chudy, wysoki, jeżeli sobie go przypominasz. Było nam jednak miło, że wzięto sedziwego, coraz poważniejszego, starego „Pstraga” za Cyrk, Twój Cyrk o Afanasjefie, pardon Afanasjefie! I że z nami w formie odbitki w Tuluzie gościł, jedząc ślimaki w porządnym składniad francuskim cięście. Takie podstępny! Mimo to Ewiva l'artel!

JAK PALILIŚMY SIĘ W BIEGU

Pomiędzy Paryżem a Dortmundem zapłoneliśmy, tzn. zapłonął był nasz wagon. Początkowo myślano, iż to płomień miłości widzów dla naszego teatru nas otula, ale życie okazało się brutalne i trzeba się było odczepić. Jak również przemycić wszystko w innym wagonie, czyli nowej rzeczywistości. Z kurzem pożarów nie ma żartów.

JAK WYSTĘPOWALIŚMY

Spektakl „Pstraga” odbył się w ogromnym teatrze

Capitol. Jest to sala wielkości mniej więcej Teatru Polskiego w Warszawie, licząca około 2.000 miejsc. Jeżeli na występach innych zespołów większość capitolońskich krzesel świeciła pustkami, to zarówno na wieczorze podczas którego popisywał się zespół pieśni i tańca Politechniki Warszawskiej jak i na spektaklu pstragowym sala była pełniutka. Obligiwało to w jakiś sposób wykonawców, a tu tymczasem zmiana klimatu spowodowała chrypkę piosenkarzy... Więc zdenerwowanie olbrzymie. Kiedy jednak kurtyna poszła w górę i po pantomimie „Tenis” sygnęły się pierwsze gromkie brawa, minęła i trema i chryпка.

Przedstawienie podobało się bardzo. Za kulisami szaleli francuscy fotoreporterzy dla których uroda ostrażanek, egzotyczna tu na południu Francji, stanowiła laskomy kąsek. W przerwie zjawił się za kulisami dziennikarz z „l'Humanité” z prośbą o wywiad.

W kolarach Festiwalu wysoko oceniono występ „Pstraga”. Podkreślono przede wszystkim fakt, iż jest to teatr prawdziwie studencki, bo zaprezentował właściwie oryginalną twórczość. Studentów szwajcarscy wyznali ze skrucia: słysząc o tym że „Pstrag” prezentuje teksty, melodie i pantomimy młodych autorów spodziewali się ujrzeć nieprzeciętną chałę. Że tak nie było, już wiadomo. Początkowo pantoflowa doniesiono potem, że obecny na przedstawieniu dyrektor teatru w Tuluzie oświadczył, iż zespoły na takim poziomie jak polskie (mowa o Zespole Pieśni i Tańca PW i o Pstragu) gotów byłby zaangażować na występy w sezonie letnim. Kiedy aktorzy tuluzkańscy urlopują.

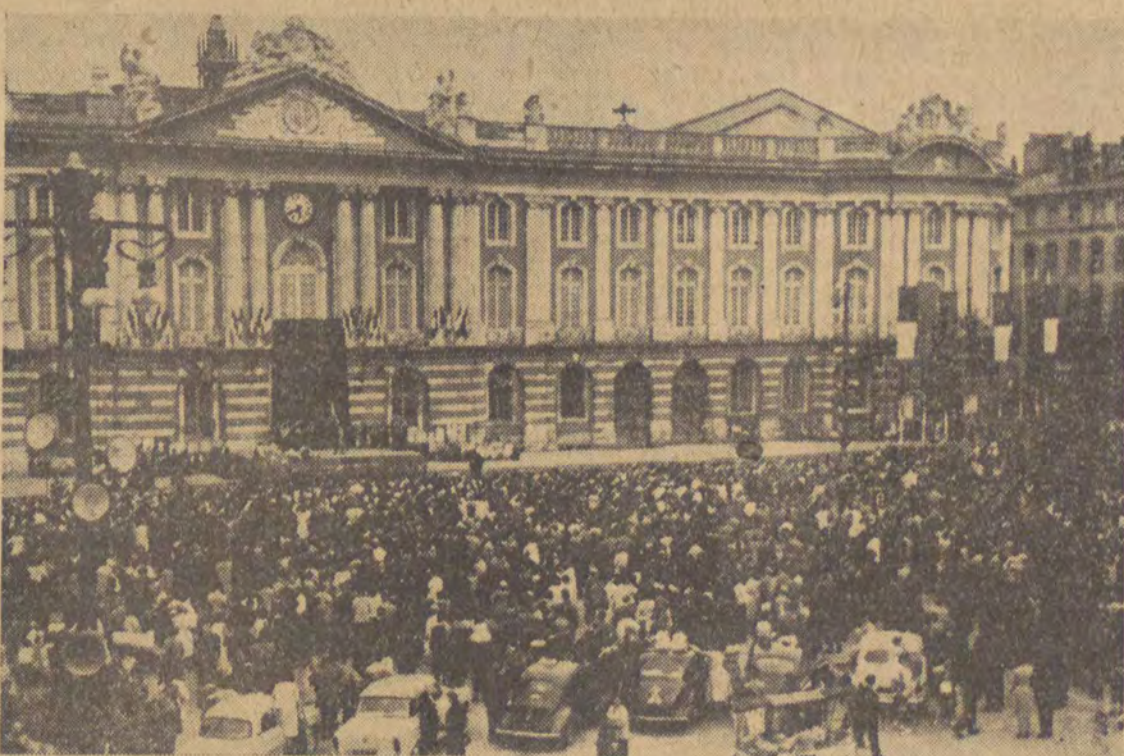
Przyjemnie usłyszeć coś takiego o polskiej sztuce studenckiej.

IV. JAK SPADŁA CUDOWNA WODA

Będąc w Lourdes jeden z młodych ludzi nabrał sobie w butelkę wody tryskającej ze źródła w pobliżu grotu świętej Bernadetty. W drodze powrotnej przez Pireneje wspomniawszy butelkę spadła była z półki autobusu raniąc boleśnie nos swego właściciela. Cud, że go nie zabiła.

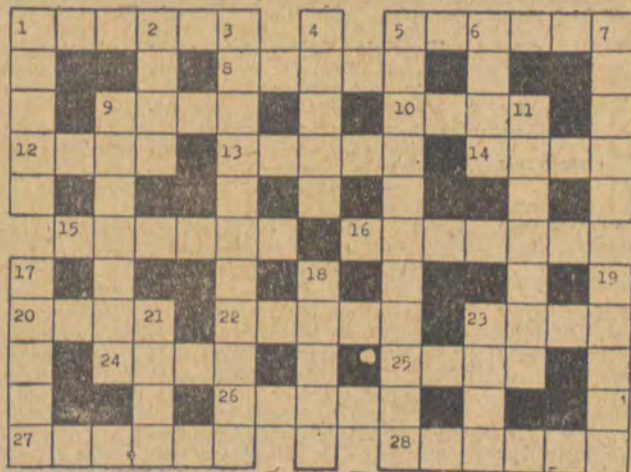
V. JAK SPRZEDAWANO PSTRĄGI

W niektórych sklepach rybnych Tuluz i Paryża spotkać można wywieszki: żywe pstragi kilogram 1.500 franków. To jest jakieś 3 dolary. Nie licząc nawet 150 kg żywej wagi jednego tylko pianisty „Pstraga” (drugiego celnicy nie chcieli pusić przez granicę bez oceny i stwierdzenia, że to puch) łódzkie pstragi waga razem ok. 5 tys. kg. To będzie, zaraz, zaraz... a w Łodzi najdroższe bilety w tym teatryku kosztuje 15 zł. Przypicie i przekonajcie się sami.



Zakończenie Festiwalu przed teatrem Capitol

NASZA KRZYŻÓWKA



Znaczenie wyrazów:

Porozono — 1) Obawa, lęk.
5) Treść utworu. 8) Imię żeńskie. 9) Choroba. 10) Sąd. 12) Napój. 13) W poezji greckiej — utwór liryczny, w którym wiersz długi, przebiega się z krótkim. 14) Ziemia. 15) Np. borowiki. 16) Nazwa tańca lub tkaniny. 20) Zwierzę futerkowe. 22) Ptak, symbol uporu. 23) Ziarnista masa śnieżna, przekształczona w lód. 24) Rozciera. 25) Sala reprezentacyjna do urzędowych zebrań w wyższej uczelni. 26) Leczba. 27) Grecka bożni przeznaczenia. 28) Wzmocnienia odbiór audycji radiowych.
Pionowo — 1) Ptak. 2) Pogoda. 3) Według wyobrażeń starożytnych Greków — lud żyjący na dalekiej północy. 4) Owoc południowy. 5) Małdło, urojenie, zjawisko optyczne. 6) Środek nasenny. 7) Zbiór map. 9) Zespół mu-

zyczny. 11) Naśladownictwo zewnętrzne, wypaczające treść ustona. 17) Peknięcie ryba, szczelina. 18) Zarost. 19) Jednostka z elektrod. 21) Wiersz żalobny. 23) Instrument muzyczny.
Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.
Rozwiązanie krzyżówki:
Poziomo — elektronika, opar. sepi, wina, cer. laur, lokata, krawcy, zapora, skarpa, czar. aga, okazy, raut, mama, gastronomia.
Pionowo — Leon, taczka, ogarek, kota, rywalizacja, skrzypaczka, paka, alka, tor. rok. Odra, atom, arka, Kali, amator, szaman.
Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowały:
1. Zofia Krakowiak, Łódź 7.
ul. Wesołkowskiego 8.
2. Ryszard Puszyński, Łódź 12, ul. 3-go Maja 64 m, ed.

Insulbno

str.

5

HARCERZU, CZY CI NIE ŻAL...

Zdjęcia:
C. RUDZIŃSKI

Tekst:
ANDRZEJ MAZUR



Dalszy ciąg ze str. 1

— nakład środków — efekty. Różnie w środowiskach harcerskich próbowano te zjawiska tłumaczyć. Różnie, i — dodajmy — z różnych pozycji.

W 1957 r. nikt się nie przewidywał, że ta „przypadkowość” objętych będzie blisko 75% młodzieży.

Były i są nadal opinie dopatrujące się w takim stanie rzeczy przyczyn światopoglądowych: wierzący rodzice nie pozwalają należeć dzieciom do organizacji, która skreśliła ze swego prawa służbę Bogu. Zapewniają Czytelników, że taki pogląd istnieje i nie jest wcale wiatrakom postawionym przez autora w celu dokonania efektownego pogromu. Pozostała po nim obszerna spuścizna w protokołach. Na czelnej Rady Harcerskiej, gdzie w ciężkich bólach rozdział się tekst nowego Prawa i Przysięgi. W rezultacie harcerstwo nie poszło ani na krok poza zasadę „nieorganizowania życia religijnego”. Swiekość harcerstwa jest więc zaznaczona w stopniu najniższym z możliwych.

Chyba dopiero w ubiegłym roku zaczęło coraz poważniej mówić, że zajęcia harcerskie nie „chwytają” u młodzieży. Sledząc harcerską prasę można było wyczytać wiele różnie interesujących jak krańcowych wypowiedzi. Pozostawiając szczegóły, sens tej dyskusji da się sprowa-

dzić do potrzeby nowej jakości w zajęciach harcerskich. Nowej jakości, to znaczy treści podążającej z techniczną, umysłową i kulturalną rewolucją naszego życia. Głosy nawołujące o „fachowców z zewnątrz” przepływały się z krytyką „uniwersalnego Robinsona”, co to i igłę z Patyka zrobi i z trzeciego piętra — dzięki prze myślnemu stosowaniu wzorów — naszurkuje się spuści. Ten „Robinson” zresztą to nie była żadna idee-fixe twórców harcerskiej metody. Metoda jest pośrednia: w interesującej grze i zabawie stara się wykształcić nawyki i dyspozycje, których wychowanek nawet nie podejrzewa, co więcej — za dobrą sprawą nawet ich nie rozumie. Rzecz w tym, aby gra była interesująca, a forma, w której to „pośrednie wychowanie” się odbywa odpowiadała ideałom tworzonemu przez młodzież.

Różnica między ideałem dla młodzieży, a ideałem, jaki młodzież sama sobie stawia, może być brzemienią w poważne następstwa wychowawcze. Nie potrzeba być bystrzym obserwatorem, aby stwierdzić, że zabawa w samochody wyparła u dzieci zabawę w Indian, a zainteresowania sputnikiem i telewizją znakomicie przewyższają chęć opanowania techniki budowy szalasu i zapalania ogniska jedną zapalną. Dwa porównywalne okresy pracy harcerskiej — do 1939 r. i obecny dzień, bądź co bądź, dwadzieścia lat historii najnowszej.

Czego oczekiwano po harcerstwie? Wiele, bardzo dużo. Nieokreślony przez swą rolę i siłę ładunek nadziei spo-

czął na tych szarych i zielonych mundurkach. Społeczeństwo ma jakiś instynkt samozachowawczy. Rozumie, że sprawa wychowania jest w ostatecznym rachunku sprawą istnienia.

Oczywiście naiwnością byłoby sądzić, że treść tej nadziei była jednakowa u wszystkich. Dzieliły ją różnice, niekiedy dość znaczne różnice postaw światopoglądowych i politycznych. Dlatego łatwiej dziś, niż przed dwoma laty wskazać na cechy wspólne, powszechne, tej nadziei. Była to wiara, że harcerstwo — najogólniej rzecz biorąc — „uratuje” młodzież.

Na czym zaś miałyby to polegać, niewiele wiedzieli. Dlatego znów łatwiej dziś, niż przed dwoma laty, zaryzykować sąd, że owa nadzieja ratunku wzięła się z krzywdzącej, nieprawdziwej oceny samej młodzieży. Okazało się, że młodzież nie była ani gorsza, ani lepsza. Po prostu inna. Nowocześniejsza. Nie potrzeba jej było zbawiać. Trzeba było i trzeba nadal zająć ją w sposób inny, nowoczesny, odpowiadający jej innym, nowoczesnym wyobrażeniom o życiu.

O tym, że jest tak a nie inaczej, przekonało się samo harcerstwo — mówiąc zwyczajnie — na własnej skórze.

Jak jest z tą nowoczesnością w harcerstwie łódzkim? Nie najlepiej. I to nie tylko w kwestii tak zwanego „zaplecza technicznego” (ostatecznie nowoczesność to nie tylko technika), ale przede wszystkim w rozumieniu doniosłości tego problemu wśród kadry instruktorskiej. Harcerski Ośrodek Motorowy, dysponujący kilkoma samochodami i motocyklami (które skądinąd ładnie prezentowały się na defiladzie) nie skupił ani

jednego zespołu starszej młodzieży. Harcerska Agencja Fotograficzna, mając kompletne wyposażone laboratorium, nie odszukała ani jednego harcerza-fotomatora. W tym wypadku to są sprawy drobne (choć bardzo charakterystyczne) i nie na tym odcinku spodziewamy się rewolucji w metodach wychowawczych. Ale już niepokojący musiał być stosunek części instruktorów, zwłaszcza w hufcach (hufiec odpowiada terytorialnie dzielnicę), do akcji KADRA. Akcja ta, mając na celu właśnie eksperyment wychowawczy, opartym na nowoczesności, zapoznanie młodzieży z problematyką życiową w szerokim tego słowa znaczeniu, napotykała bierny opór w ogniwach organizacyjnych. W rezultacie, aby werbować uczestników, uciekano się niejednokrotnie do „kontrabandy”, do przechwytywania młodzieży poza „drogą służbową”.

Pomimo wszystko akcja się udała. Właśnie dlatego, że odpowiadała młodzieży. Bo była inna i nowoczesna.

Nowoczesność nie jest rzecz jasna, aylem dla zmanierowania, pseudodorośliego pozerstwa itp. Owo stwierdzenie, zdawałoby się oczywiste, trzeba jednak zanotować, ponieważ i w taki, niezbyt wybredny sposób, próbowano z nowoczesnością dyskutować.

Młodzież dzisiejsza wchodzi w życie szybciej niż przed dwudziestu laty. I nie tylko wchodzi. Jest wcześniej świadoma, że to życie na nią czeka, że jest trudne i — co najważniejsze — że od niej zależy jak będzie się układało. Osiemnastolatek sprzed dwudziestu laty miał mętne pojęcie o tym, przed czym stoi. Albo był korzystnie urodzony i wtedy nie martwił się, bo los nadawał dalej pomyślny bieg jego życia, albo był urodzony niekorzystnie i wtedy także nie potrzebował się martwić, bo również mało miał do stracenia jak do zyskania. Rozmnieć to oczywiście należy, jako zjawiska ogólne. Tak jak ogólnym zjawiskiem jest obecnie sytuacja odwrotna: młodzież wie, że ma dużo do stracenia i dużo do zyskania. Natomiast, niestety, znacznie rzadziej przejawia chęć do tego, aby zyskać. Różne się na to składają przyczyny, między innymi nieproporcjonalny do wykształcenia poziom zarobków (już 12-letni uczniowie doskonale dziś rozumieją, że łatwiej utrzymać się z zarobków niewykwalifikowanego robotnika budowlanego, niż z pensji nauczycielskiej). To wskazuje nie wyklucza u młodzieży dużego zainteresowania i chłonności problematyki życiowej.

Nowoczesne wychowanie powinno prowadzić młodzież w nieustannej wędrówce do zagadnień. Zbliżać ją do życia realnie, poznawczo. Taki proces w połączeniu ze świadomością szansy ro-

wszechnej pomoże młodzieży „odnaleźć się”. W takim procesie subtelne podsuniecie młodzieży rozróżnienia między dobrem i złem, między ambicją i łatwizną będzie nierównie skuteczniejsze od wielkich słów wygłaszanych okolicznościowo w salach rekreacyjnych.

Nowoczesność, którą tu można określić terminem „frontem do życia” z trudem toruje sobie drogę w łódzkim harcerstwie. Pasjonujący swą oryginalnością i społeczną treścią program KADRA zakładał, że pół tysiąca młodzieży przejdzie szlakiem dużej, 28-dniowej wędrówki, a poszczególne jej ogniw stanowiąc będą określony etap poznawczy. Znalazła się w tej wędrówce szeroko pojęta służba sanitarna dla zaoferowania pomocy w razie choroby i urazu; służba kulturalno-oświatowa polegająca na organizowaniu widowisk i wyświetlaniu filmów we wsiach; poważne i staranne badania ekonomiczne wsi biednych i bogatych; badania archeologiczne i etnograficzne; służba dziecku, w której każdy uczestnik wędrówki musiał wykazać, że rozumie potrzeby najmłodszych i umie zająć je — stosownie do wieku — właściwą zabawą, wreszcie coś dla godziwego wypoczynku: turystyka piesza, kolarska i kajakowa.

Niestety, wzięło w tej akcji udział niewiele ponad półtorej setki młodzieży i to głównie z jednego hufca — z Polesia. A przecież był w tym rozmach, był jakiś przekrój współczesnego życia. Dziewczeta i chłopcy kalkulowali cenę kwintala zboża i kilograma żywea, własnymi obserwacjami pojęli praktyczny sens takich pojęć jak przełudnienie wsi, przemysłowienie, nowa polityka rolna. Zrozumieli, że zwycięstwo czystości nad zwyczajną i kołtunem nie jest sprawą haseł i sloganów, nie przychodzi do wsi mocą dekretu.

I — co najważniejsze, a może niezrozumiałe dla wielu — młodzież interesowała się tym! Wyżywała się w pracy, widziała w niej swą bezpośrednią użyteczność: nie samego wysiłku mięśni przy interwencyjnej wykopce w pegeerze, ale użyteczność całej harmonijnej osobowości; w rozwidywaniu, w rozpoznaniu, w działaniu.

Kolumbowie z tegorocznej KADRY pozostaną w harcerstwie. Odnaleźli w nim formułę współczesnego „dorosłego” życia. Mniej w nim będzie miejsca dla degustacji alkoholu i erotycznych wprawek.

Żał tylko, że mogło być trzy razy więcej. Że mogli reprezentować więcej środowisk i zanieść im zarzewie szlachetnego buntu przeciw schematom. Ale to nie ich wina.

Dziwna zbieżność Metoda „frontem do życia” przyjęta przez młodzież z uznaniem i zain-

teresowaniem okazuje się równocześnie zdumiewająco bliska potrzebie wychowania aktywnego, świadomego obywatela.

Budowniczym socjalizmu próbowano wychowywać różnie. Niekiedy szafowano darmochą, kokietowano, hojnie obdarzano gotowymi formułkami, aranżowano wielkie pokazowe akcje z transparentami i dętą orkiestrą. A jak się okazało, że niewiele z tego wychodzi, wyciśniętym z tego pokroju machnęli ręką i stwierdzili: młodzież jest zła.

Harcerstwo uniknęło darmochy i kokietek. Przeciwnie stawiało im służbę: na wszystko trzeba zapracować. Zgoda. Ale czy warto. Jeżeli „zaciąg” do owej służby jest dobrowolny musi być w niej coś atrakcyjnego, aby przystąpić, aby po przystąpieniu — pozostać. Na czym ta atrakcyjność powinna polegać, mieliśmy sposobność wskazać wyżej. Jeżeli zaś istnieje zbieżność między atrakcyjnością i skutecznością metody, to to jest wielka szansa wychowawcza, której zmarznąć nie wolno.

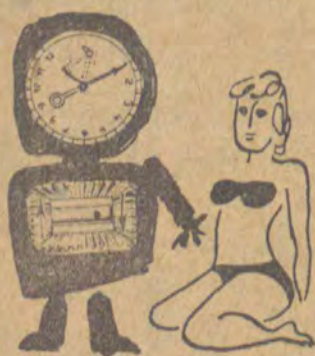
Nie jest łatwo wychować ideowego człowieka. Na pewno nie prowadzi do tego karności, ani — z drugiego krańca — fasadowe akcje statystów. Tam wszędzie, gdzie młodzież nie widzi się inicjatorem, motorem działania, za rękę nie da się prowadzić. Wierzę. W najlepszym razie obojętnie.

Dano wyraz tej prawdzie, ogłaszając w łódzkim harcerstwie akcję MAPA, eksperyment podobny do omawianego wyżej, tyle, że pomysłany na cały rok codziennej pracy drużyny. Były w nim konkretne zadania zmierzające do wyzwolenia społecznej inicjatywy młodzieży, pobudzenia ambicji i samodzielności w podejmowaniu służby. Były niewątpliwie intencje, żeby młodzież świadomie i odpowiedzialnie współuczestniczyła w wyborze rodzaju zadań, aby rozumiała je jako własną, dobrowolną i potrzebną pracę.

I w tym wypadku rezultaty były mniej niż połowiczne. Akcja zamiera. Nie stała się praktyczną treścią pracy organizacyjnej, nawet nie zasługując na miano „dużego eksperymentu”. Po prostu nie wszędzie dotarła. Po prostu nie wszyscy instruktorzy dostrzegli w niej jedną z najżywczych potrzeb organizacji: potrzebę polepszenia skuteczności metody z jej atrakcyjnością.

Aby zapewnić pełny rozmach pracy harcerstwa łódzkiego wystarczy, jeżeli część instruktorów ocknie się z historycznego snu. Dobrej woli starczy im na pewno. To są ponad wszelką wątpliwość ludzie o dużych wartościach moralnych i dużym entuzjazmie społecznym.

KAJŚ TU WŁAZŁOWICZ?



Z satysfakcją odnotowuję duże postępy, jakie zrobił pan Wlazłowicz w ciągu ostatnich dni. Dokumentuje je replika na felieton Belfra, zamieszczona w kolejnym numerze „Życia Pabianic” pt. „W odpowiedzi Belfrowi z „Odgłosów”, jeszcze o prowincji”. Mam zaś na myśli postępy zarówno we władaniu piórem jak i zwojami mózgowymi.

Wspominana rzecz ma na tyle ręce i nogi, iż pasuje p. Wlazłowicz na członka dziennikarskiego klanu, ergo prze-

rywa odstraszał i pozostawia Go pod ochroną.

Nadając powyższej decyzji natychmiastową moc wykonawczą oświadczam niniejszym, iż w pełni solidaryzuję się z panem Wlazłowiczem we wszystkim co napisał i napisze. Szczególnie zaś wyjął mi z ust następujące stwierdzenie:

Dziennikarze to durnie Belfer pisze bzdury W Paryżu nie czytają „Odgłosów”

Belfer pisze płaskie dowcipy

W ciału Belfra wierać się ciernie Belfer jest stetryczny.

W edukacji pana Wlazłowicza pozostają wskazanie jeszcze pewne niedomogi i zharmonizowania, mianowicie wyraża on humanistyczną troskę czy czasem nie zadaje mi zbyt wielkich cierpień, nazywa mój belkot „koszałkami-opalkami”, cofając się przed mocniejszymi słowami; miast trzymać o kretynowości dziennikarzy pisać pewnie i swobodnie, mówi „a gdybyśmy tak napisali, że dziennikarze to durnie” itd.

Poza tym p. Wlazłowicz niezbyt jeszcze celnie doбира równania. Powiadając, że mój dowcip jest „płaski jak chodnik” powoduje u czytelnika

niezrozumienie intencji „dlaczego akurat chodnik?”. „Czy to aluzja do deptania?”. Nie, panie Wlazłowicz, Dziennikarstwo to nie literatura. Operujemy najprostszyimi sformułowaniami. „Dowcip Belfra płaski jest jak deska klozetowa” — o to jest to czego szukał. Myśl jasna, a porównanie frapujące plastycznie. No, ale to już naprawdę dęta.

Wreszcie w artykule pana Wlazłowicza jest sformułowanie radujące nas niepomietnie: „Cala ta sprawa zaczyna nas bawić jako frapujące „rozmańcenie szarych dni”.

No, nareszcie, panie Wlazłowicz, od tego trzeba było zacząć. Od razu byłby Pan pod ochroną.

Jeśli jednak nie przycisnę pana Wlazłowicza do serca i nie oddam Mu połowy honorarium za repliki w niego skierowane, tak jak dobry obyczaj dziennikarski przewiduje, to dlatego, iż w jego artykule znajduje się podła i obraźliwa mnie, kłamliwa insynuacja, jakobym kiedykolwiek bronił pana Brysza.

Upprzedzam, że w wypadku powtórzenia takich kalumnii — cały pakiet dowodów, jakie w przyszłym miesiącu obwołany jestem pociągaczem, skierowany będzie przeciwko panu Wlazłowiczowi, jego organowi i jego rodzinie.

BELFER

AUTO STOP

(Dalszy ciąg ze str. 1)

kilometrów. Przed chwilą wyskoczyłem z platformy kutnowskiej ciężarówki. Jechałem z gromadą dzieci z siódmej, ósmej klasy. Jakis szesnastolatek z Rzeszowa badał mnie bezceremonialnie.

— Skąd jedziesz? Co masz do zgryzienia?

Śmieje się z mojej dziewczęcej książeczki. Sam przejeżdża już trzy.

— Tylko frajer zabiera forsa. Pieniądz jest, ale na papierosy.

Szesnastolatek wyciągnął pogięte „Sporty“.

— Masz! Pal!

Sam pali wyciągnięty na workach. Opowiada o księdzu spod Bielska. Jego wielkość dał nocleg, śniadanie i kolację. Rano nakazał służenie do mszy. Inaczej trzeba nocować w stodach, stodolach, z gromadą innych. Kiedy właściciel nie pozwala, nocleg zdobywa się szturmem. Do nas należy ziemia ogromna! Najczęściej właściciel macha ręką, zrezygnowany.

Zajechałem do Piotrkowa. „Niech będzie pochwalony autostop“ — zakrzyknęto do mnie z ciężarówki. „Niech będzie, niech będzie“. Na ulicy Słowackiego — deptak. Od przejazdu do reprezentacyjnej „Europy“ siedzą mieszczuchy. Panlusie w nowych ciuchach, panowie w skrzypiących półbutach. Siedzą z minami emerytów, znudzeni życiem, znudzeni Piotrkowem. Siedzą i narzekają na tych „szczeniaków“, na autostopowiczów, którzy uciekają na szlak, „żeby sobie pocłupiać nockami“. Myślę jednak, że te masowe ucieczki z domów bez wiedzy rodziców, to jednak coś innego niż tylko „ciupkanie z nudy po nocach“. I na pewno jest tu trochę podświadomej obawy przed potopem. Świad czy o tym psychoza polkania kilometrów, byle dalej, byle przed siebie, byle nie wie dzieć, co się dzieje na świecie.

Zaskoczony sennością Piotrkowa, zaskoczony atakami pełni w miejscowym kinie, które mimo wszystko nie potrafią rozruszać tutejszych mieszczuchów, wyjechałem do Radomska. Siedząc na rurach myślałem: dlaczego ludzie uważają, że chłopcy wyruszają na szlak parzyć się z wiejskimi dziewczętami? Zaczynał deszcz, przejeżdżaliśmy obok jakichś wiatraków. Jechało ze mną dziesięciu chłopców. Mieliśmy poznać rodzinny kraj, a znaleźliśmy się w świecie odrębnym. Choć nikt z tych ludzi nie był Don Kichotem. Przeciwnie. Opowiadali o przygodzie z dwiema prostytutkami z Warszawy. „Powiedzieli, obskocz ją Emil. Potem musiałem z nim iść do przychodni w Gdyni“.

Straszne, a przecież czerwona książeczka autostopu może się stać włócznią. Młodzi chłopcy

Starzy pan „skłknał“, po- grzebał w kieszeniach, wetknął kierowcy pięć złotych. Auto ruszyło i stanęło w rynku. Wyrzuciłem kupony z książki i słuchałem. Kierowca miał pretensję do jakiegoś autostopowicza, że ścigał mu z samochodu butelkę oranżady.

Czekając w rowie na auto myślałem o autostopie. O wrażliwości, których nie można znaleźć gdzie indziej. O możliwościach spędzania lata przez ludzi niezamożnych, przez studentów, maturzystów. Dlaczego bandy wyrostków niszczy całą akcję? Coś tutaj redaktorzy ze „Sztandaru Młodych“ i „Dookoła świata“ przegapili. Jeżdżą autostopem ludzie, którzy ani razu nie wstąpili do muzeum, którzy nie nie widzieli, przejeżdżając tysiące kilometrów.

Mogę zresztą myśleć długo. Przejechały dwie furmanki, przeszła kobiecina w chustce.

— Jeżdżą tutaj auta?

— Jeżdżą, jeżdżą. O siódmej będzie autobus.

Koło siódmej nadjechała ciężarówka. Z przedniej strony. Szofer wychylił się.

— Będę jutro wracał. Zabiorę.

Żebyś usiadł na wszystkie cztery kółka za taki dowcip.

W dwadzieścia minut później nadjechała znów ciężarówka. Skrzylna brudna, po cencie. Nie zastanawiałem się ani chwili. Szofer podziurzył mnie do Działoszyna. Stałem na rozstajnych drogach.

— Pan też na autobus?

— Nie, ja autostopem.

Chłop popatrzył na niebo, jakby stamtąd miał nadlecieć ten dziwny autostop.

W spółdzielni w Działoszynie sklepowa zrobiła do mnie oko.

— Znajomy zabił świnkę. Za dwadzieścia minut będzie kaszanka. Tylko wie pan, ani słówka.

Rozbiłem namiot nad Wartą. Na drugim brzegu widać wapienniki, od łaki szesnastowieczny zamek. Przed laty wisiały tutaj płótna Bacciarellego. Teraz są zamurowane okna i żona dozorczy.

— Pan może za robotą tutaj? Bo mój mąż jest za stróża.

Powiedziała to z dumą i mocno protekcyjnie. Aż mi

się żal zrobiło, że nie szukam pracy.

Rano zbudziła mnie gromada miejscowych dzieciaków. Wsadzały głowy pod płótno.

— A na Wieluń jak tutaj?

Odprowadziły mnie do rynku. Jeszcze potem w drodze czułem ich zdziwione spojrzenia. Myślałem o tych małych osadach, gdzie wciąż książd jest największym autorytetem. Myślałem o małym miasteczku meralności, gdzie „przed ślubem nie może być stosunków“, jak powiedziała matka dziewczyny po związku cywilnym. Wieluń przed wojną słynął z przemytu. Stare nawyki pokutują do dziś w co pamiętliwszym obywatelu miasta. Milicja ma dużo do roboty. Jest nieufna. Dla przechowania mego plecaka chcieli spisywać protokół i zakładać plombę.

Ufny był tylko pijak w „Ratuszowej“, Łapał mnie co chwila za kolano.

— Niech się pan nie obrazi.

Podchmielony kierowca Pekaesu bił się w pierś.

— Ja dla autostopowiczów wszystko.

Z tym, panie kierowco, to chyba przesada. Widziałem puste ciężarówkę i auta osobowe, które nie stawały mimo rozpaczliwych sygnałów.

Dopiero ludzie z ulicy pokazali mi Wieluń, nowy rynek wyasfaltowane ostatnio ulice. Wieluń bez pruderii, mimo czujnego oka dwóch paxowskich gazet. Jak na małe miasteczko, to chyba trochę za dużo.

Wyjeżdżałem spokojniejszy. Pustą zupełnie ciężarówką dostałem się do Ostrówki. W dwadzieścia minut potem nadleciał ciężarowy „Fiat“ z Opola. Na metalowych prełach, dzwoniących uprzejmie dojechałem do Sieradza.

Tu spotykam kolegę, który jeździ autostopem. Opowiada o swoich przygodach. Na Mazurach po czterdziestu autostopowiczów ładuje się na jedną ciężarówkę. Godzinami trzeba czekać na auto z Krakowa do Zakopanego. Opowiada też historię kolegów, którzy „wyjechali“ autostopem do odległych o kilometr Monie. Tam w biały dzień chodzili „na dzierżawę“ do ogrodu miejscowych zakonnie. Czasem któraś wybiegała, krzyczała. Młodzieniec

spuszczał spodnie i oślepiał ją blaskiem miejsc dołnotylnych. Siostra uciekała z krzykiem, ogród pozostawał nie strzeżony.

Korzysta z usług autostopu wielu chuliganów, poszukawczy nieczystych przygód. Ale ci prawdziwi autostopowicze, którzy dzielą się między sobą chlebem, którzy pracują na dniówce w pegerach, są inni. Wiozą nowe obyczaje, wiozą nowe spojrzenie na świat. Dlatego właśnie autostop, mimo wszystko, może torować drogę postępowi.

Wyjechałem do Poddębice wojskowym autem. Dojechałem do Rososzycy, gdzie „nie ma sklepu spożywczego, ino spółdzielnia“, jak mnie poinformował uprzejmy staruszek. A stamtąd piechotą dojechałem do Zadzimnia.

— Pewno Cygany — usłyszałem po drodze.

Dwie zagrody dalej kobieta pasąca krowy szepnęła do córki.

— Karabin mają.

Tak, groźnie wyglądała laska z proporcem „Odgłosy-Autostop“.

W Zadzimniu na szosie wyległ mój milicjant. Dodał, że za pół godziny będzie auto. Pojechaliśmy milicjnym „Lublinem“. W ciemności jakiś mężczyzna przysunął się do mnie. Pachniał potem i wapnem. Zabrał go na przesłuchanie. Sam podpalił stare i zgnile zabudowane ubezpieczone w „fajerkasie“.

— A pana za co posadzili?

— Nie, mnie nie posadzili, jestem turystą.

Dojechałem do Poddębice w zupnym mroku. Jakis chłop na ulicy Łęczyckiej wpuścił mnie do stodoły.

— Nie pal pan tylko na siano!

Rano popatrzyłem na starą stodołę i przypomniałem sobie aresztanta z fajerkasy. Żona gospodarza odpędzała kłonicą złego psa. Udało mi się złapać jakąś ciężarówkę z Kutna. Jechałem na bezkach ze smolą szczęśliwy, że udało mi się uciec z tego wygwizdówka. Na dobrą sprawę można było czekać na auto dwa dni a w Łęczycy trafili już na uczęszczaną szosę.

Na łódzkiej szosie bez przerwy przejeżdżały auta osobowe. Kierowcy w pa-

stwowym wozach z młodymi dziewczętami. Trąbili głośno, albo pokazywali ręką na dziewczynę. Dopiero po godzinie zatrzymało się auto z zakładów z Targowej. Zapytano mnie, czy mam szklanneczkę.

— Nie zrobił pan różnicy, że na pół godzinki staniemy w lesie?

Nie zrobiło. Gdzieś pod Zgierzem skręciliśmy w bok. Ktoś sprawnie otworzył konserwowe ogórki, ktoś wyciągnął pół litra. Humorki się ożywiły. Przepijałem do różnych osób. Tylko pan Kazimierz poszedł podglądać parę młodych rowerzystów. Wrócił po kwadransie i obwieścił.

— E, tam. Boi się zabrać!

Zjawiska towarzyszące autostopowi wymagają na pewno głębokiej analizy socjologicznej. Jedno jest pewne. Ta nowa forma podróżywania stała się popularna. Trzeba tylko pomyśleć o pewnych reformach. Korzystają przecież z autostopu małżeństwa z dziećmi, panowie z brzuszkami, emeryci, studenci, maturzyści ale korzystają też urodzeni balaganiarze, którzy z zaulków miast wyszli na szosy chuliganie i rozrabiają. Trzeba pomyśleć o odebraniu tym ostatnim prawa do wędrówki. Nie może być miejsca na autostopie dla złodziei namiotów, dla gości, którzy z nudów tną nożami planetki i kradną kury w wioskach.

Tak zresztą, przedstawił ten problem uczestnicy sejmiku autostopowiczów w Łęczyckich. Domagali się nawet czegoś więcej — wprowadzenia prawa prerii wobec nieuczciwych.

Autostop, który zaspokaja naturalną tęsknotę młodzieży za włóczęgą jest potrzebny i od niego — wara. Niech nam będzie pochwalony. Bo na szosie zostaje coś więcej niż odciski opon w rozgrzanym asfalcie.

TEKST

Konrad Frejdllich



MATEUSZ DZIEWISZ

Poezjo jesteś tyranem...

W modnych i chyba jeszcze nie całkiem wyeksploatowanych rozważaniach psychologicznych na temat tego jacy jesteśmy (to znaczy jakimi cechami charakterologicznymi wyróżniamy się od innych narodów) dyskretnie pomijają się milczeniem to, że licząc proporcjonalnie ilość potencjalnych i aktualnych poetów do ilości mieszkańców pozbawionych boskiej iskry poezji, jesteśmy, co tu chować pod korcem, narodem poetów. Mają swoich poetów modne ma gazyny ilustrowane, mają poważne czasopisma społeczno-kulturalne, mają dzienniki, tygodniki, miesięczniki, mają robotnicy, chłopcy, inteligenci i żołnierze.

Mają snobistyczne warszawskie i łódzkie kawiarnie, domy kultury, kluby ZMS i „egzystencjalistyczne” piwnice. A każdy potencjalny poeta i ten, który w poezji swojej publicznie się ob-

naża, co temu w te pędy do wydawnictwa biegnie, żeby aby w tomiku, z przerwami, nowoczesną grafiką ozdobione swoje dzieło upłynić. Bo to i splendor nie mały i zawód poety się zyskuje. I tak jak grzyby po deszczu rodzą się w wydawniczych kuchniach „poeci” co to poetami jedynie w swym mniemaniu zostać powinni. A myślę, że krzywdę nie tylko społeczeństwu się wyrządza, ale i niewydarzonym autorom, którzy omamien sukcesem w wydawnictwie w profesjonalną zarozumiałość popadają, zapominając o tym, że nie ma zawodu poety. Bowiem poeta się jak zwykły był mawiać Norwid, nie jest, tylko bywa. Wydawnictwa zaś, dumne ze swojej roli mecenasa (za państwowe pieniądze), coraz to nowe tomiki składają i nowych poetów kreują. Mnóżą się zastępy poetów, co to błękit nieba szturmują, którzy huczą i grzmia pioruna-

mi i tych zrezygnowanych, pełnych pokory i samounicestwienia, gotowych poddać się w walce z tajemniczym i niezrozumiałym losem. Co raz to nowy tomik spływa z pras drukarskich, tomik wierszy regularnych i wierszy „nowoczesnych”, rozwichrzonych i tajemniczych jak tajemniczy i zagadkowy jest wiek XX. Uczni zaś w piśmie profesorowie wysnuwają cienie teorie o sinusoidalnym rozwoju poezji, o ogólnym podniesieniu poziomu, a w zalewie wydawanych tomików, dalibóg, nie odróżnisz indywidualnych rysów pana X od pana Y. Poza kilkoma poetami z prawdziwego zdarzenia, dodajmy poetami należącymi do najmłodszych, którzy wnieśli do poezji polskiej ostatnich lat odrębny typ wrażliwości czy interesujący typ poetyckiej wyobraźni, w tak hojnie wydawanych tomikach — nie, tylko zamilowanie do kalkomanii. Osobiście nie mam nic przeciwko tej dziecinnej igraszce. Tylko po co zaraz z mało twórczej zabawy robić fakty społeczne? I to jeszcze premiowane? Chyba, że odpowiedzialni ludzie zasiadający w wydawnictwach, a zwiędzeni ilością zgłaszających się potencjalnych poetów, sami uwierzyli, że każdy petent w wydawnictwie to poeta. Panowie, wierzę mi, nie każdy, byle z odkrytą przyłbicą i dumnie podniesionym, jakby znaczącym stygmatem poezji czołem petent, niezależnie od płci i wieku, powinien korzystać z państwowej premii, na którą bynajmniej (dowodem liczne tomiki poezji) swoim dorobkiem nie zasłużył. Młodzi gotowi się gniewnie obruszyć, że to niby śmiertelny cios w rozwój narodowej poezji się wymierza, że kultura, cywilizacja, postęp, że oni niby sól zie-

mi (poeci) itd. itd. Myślę jednak, że nie z tego się kultura nie stanie, jeśli kilkanaście tomików naszych grafomanów nie ujrzy światła księgarskich witryn. Będzie to niewątpliwie niemającym pożytkiem dla ludzi z talentem, a także i dla czytelników. Kultura zaś uwolni się od kilkunastu profesjonalnych poetów. Inne dziś wprawdzie czasy i inne stosunki wydawnicze, ale czemu nie przypomnieć, jak to dawniej bywało, kiedy to u pana Mortkowicza, mając stówkę, własnym sumptem to młok poezji wydać było można. Nie hańba to i żaden wstyd — własne pieniądze na wydanie tomikułożyć. Wielu poetów — i to nie tylko grafomanów — tak postępowało. W ten sposób poetyckie ostrogi zdobywszy, następne już z autorskim honorarium w szrankach poezji się potykali.

A może by tak i dziś — w formie, no, może nieco zmodyfikowanej — z doświadczeń pana Mortkowiczowskich skorzystać? Wielu młodych ludzi przestałoby traktować zawód poety, tak jak się traktuje zawód szewca, krawca czy innego rzemieślnika. Wzięłoby się solidnie do pracy, a to już coś jest. Może w końcu zrozumieliby nawet, że poezja to nie zawód, że takiego zawodu po prostu nie ma. Mniej byłoby rozczarowanych, zgorzkniałych, tych, co to się im w poezji nie powiedziało, bo to, panie, kliki, kotlety, kapliczki itp. itp. Natomiast wpłynęłoby to może na ogólny poziom poezji, tej wydawanej przez państwo we i spółdzielcze wydawnictwa. Nie ma się co łudzić, że jest to cudowny środek, który wpłynie na rozkwit poezji. Myślę, że jest to może mało skuteczny, ale z braku lepszego wart przedyskutowania środek, zapobiegający wzrostowi fali grafomanii.

ANDRZEJ BRYCHT

Z cyklu „ANONIMY”

Wszytkie lata powstały z Marii
Wszytkie zimy i wiosny z Elżbiety
Jesień nie ma patronki, Mario, Elżbieto,
Rodzi ją chłodna róża wiatrów
rodzi ją pamięć zniewolona, deszcz
drobny, klujący jak grzechy
w rachunku błędnym od początku do końca.
Ona leży płasko ciepłiej od ziemi
szara od stóp dalekich, nieznajomych ludzi
rzeźbiona mapa powrotów, odchodzeń —
od wiosny, od lata, do zimy
przez nią się idzie.
Jesień, nieurodzona dla mnie
to krajobraz bez końca. Szary wiatr
między miastami, które, kto wie czy są.
To patrzeć w dalekość i wszystkiego jednakość
przesloniętą
zapomnianą od małości i złą.
Mario, Elżbieto, cieszyć się
matką zimy, wiosny i lata,
moich małych, nazwanych szczęściem.
Jesień zawsze będzie samotna
jesień zawsze będzie lekko chora
niewysłuchana, nieutulona. Jej
można się zwierzać tylko z tamtych pór.
Róża wiatrów skrzepnie w różę ołowianą
poem splonie w słońce moje osobne.
Planeta pogód niecierpliwych wrząca
Wszytkie lata urodzone z Marią
Wszytkie zimy i wiosny z Elżbiety
Jesień
nie ma patronki.

(styczeń 59)



KRZYSZTOF ANTONI MAZUR

JESIEŃ MUZYCZNA

Jest w Polsce spora rzesza zagorzałych wielbicieli muzyki (z pewnością o wiele większa, niżby się na pozór wydawało). Ale liczn i naszych „melomanów” — nawet ci najzagorzalsi — byłoby co najmniej mocno zdziwienie, gdyby przyszło im przysłuchiwać się koncertom tegorocznej „Warszawskiej Jesieni Muzycznej”. Na próżno szukaliby bliskich sobie dzieł, znanych wzruszeń. Zamiast słodkich melodii Mozarta, pełnych siły i męskości konstrukcji symfonicznych Beethovena, czy sentymentalnych uniesień Czajkowskiego, słyszeliby twory muzyczne, niejednokrotnie odbiegające całkowicie od dotychczasowego pojęcia „muzyki”.

Dla tych, którzy nie mogli osobiście uczestniczyć w koncertach festiwalowych, radio dało kilka transmisji. Jedni słuchali z przejęciem, inni, oburzeni, zamykali odbiorniki radiowe. Jednak nie nie zmienić faktu, że nowa muzyka szuka już swego miejsca w świecie dzisiejszym.

I że Międzynarodowe Festiwal Muzyki Współczesnej w Warszawie są wyrazistym odbiciem tych poszukiwań. Zwane „Warszawską Jesienią Muzyczną”, czynią z Polski ważny ośrodek muzycznej teraźniejszości. Napisałem: „Festiwal”. Użyłem liczby mnogiej, choć przed kilkoma dniami skończyła się dopiero trzecia kolejna impreza tego rodzaju. Ale zna-

czny rozgłos w świecie „Warszawskiej Jesieni” pozwala już dziś na uogólnienie. Te „Jesienie” muzyczne zawdzięczają swój rozgłos temu, że dają szeroki obraz różnorodnej muzyki naszego stulecia. Konfrontacja różnych koncepcji artystycznych, a w szczególności (z racji umiejscowienia geograficznego) konfrontacja muzyki Wschodu i Zachodu, może być chyba uznana za dobry pomysł organizacyjny.

Oto przykład charakterystyczny, program inauguracji Festiwalu w dniu 12 września pod batutą Witolda Rowickiego:

Na początku „Toccata” Bolesława Szabelskiego i „Ekspresje na skrzypce i orkiestrę” Tadeusza Bairda, a więc utwory przedstawicieli starszego i młodszego pokolenia współczesnych kompozytorów polskich. Po przerwie „6 utworów na wielką orkiestrę” Antona Weberna, inicjatora najdalej dziś idącego kierunku eksperymentalnego, zwanego „punktualizmem”. Jest to kierunek jeszcze bardziej oderwany od tradycji, niż osławiony „dodekafonizm”. Zaraz po Webernie — „Koncert na fortepian, trąbkę i orkiestrę smyczkową” czołowego kompozytora radzieckiego Dymitra Szostakowicza. (Szostakowicz przybył na Festiwal i został entuzjastycznie przyjęty przez publiczność). I wreszcie, jako wspaniałe zamknięcie omawianego programu — wzruszająca III



III Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej Dymitr Szostakowicz na estradzie Filharmonii Narodowej obok po lewej — solista utworu Szostakowicza, pianista łódzki — Zbigniew Szymonowicz.

Symfonia Karola Szymanowskiego, odnowiciela muzyki polskiej.

Tak się zaczęło dziewięć dni wypełnionych muzyką. Występy Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia pod dyrekcją Jana Krenzla i orkiestry Szwajcarskiej Romańskiej (dyrygował Ernest Ansermet) i Śląskiej Orkiestry Kameralnej i Symfonicznej Radia Węgierskiego pod batutą György Lehela. Utwory bliskie muzycznej przeszłości, jak balet „Nowa Odyseja” kompozytora z NRD Viktora Brunsza, czy opera słowacka „Krutnława” Eugeniusza Suchonila. Obok jaskrawo eksperymentalne dzieła kontrynatorów Weberna. Pokaz nagrany na taśmy magnetofonowe tzw. muzyki „konkretniej” z prelekcją Pierre

Schaeffera. Prawykonanie wielu nowych polskich kompozycji: Szabelskiego, Bairda, Bacewiczówny, Góreckiego, Krenzla i innych. Wreszcie zamknęła ten przegląd ostatnia pozycja ostatniego koncertu festiwalowego (pod dyrekcją Stanisława Wisłockiego) w dniu 20 września — Symfonia „Harmonie der Welt” Paula Hindemitha.

Z frontonu Filharmonii Narodowej zdjęto sztandary różnych krajów. Rozjechali się do domów zagraniczni goście i przedstawiciele polskich sfer muzycznych. „Jesień Warszawska” dała możliwość ujżenia z bliska problemów i propozycji, zwycięstw i klęsk muzyki naszego wieku. Rozszerzyła muzyczne horyzonty, ożywiła dyskusję na niełatwy temat: „współczesność”.

Więc trzeba będzie jeszcze włosy czesać
buty uważnie pieścić by nie zawiodł
glejł stateczności pod ogrodem lamp

Trzeba się będzie skłaniać ku pejzażom
wilgotnych tanich tygodników
wyteżać podziw aż zaświeci zmrok
Wtedy ze szkieł obrzękłych wieczna
wiedza się zrodzi bezbolesnie
powszednia o ciężarze strat.

Lecz strat się nie rozumie. Po co
z epoka zgodzić się należy
by bez uszczerbku umknąć w sen

Więc trzeba jeszcze włosy czesać
buty uważnie pieścić by nie zawiodł
glejł stateczności chłodnej pod ogrodem lamp

(grudzień 1958)

czy to ty jesteś, drogo
po której tamten żołnierz szedł w zakurzonych butach
ciężkich jak jego wiek z żarówką
wiezienną w pamięci zamiast dawnych ugasłych
słońce

albo ten biedny strażak, który
na trawie grał od zórz do zwiastów chłodnej
i odszedł z żelastwem złotym i ciężkim tehem
albo ta stara kobieta obok roweru z bańkami
mleka przez piach
albo ten bez pieniędzy, zamiast jechać
czy to ty jesteś, drogo
po której szedłem, wydłużonym głodem
troskliwie
badając kamień każdy i skręt

(grudzień 1958)

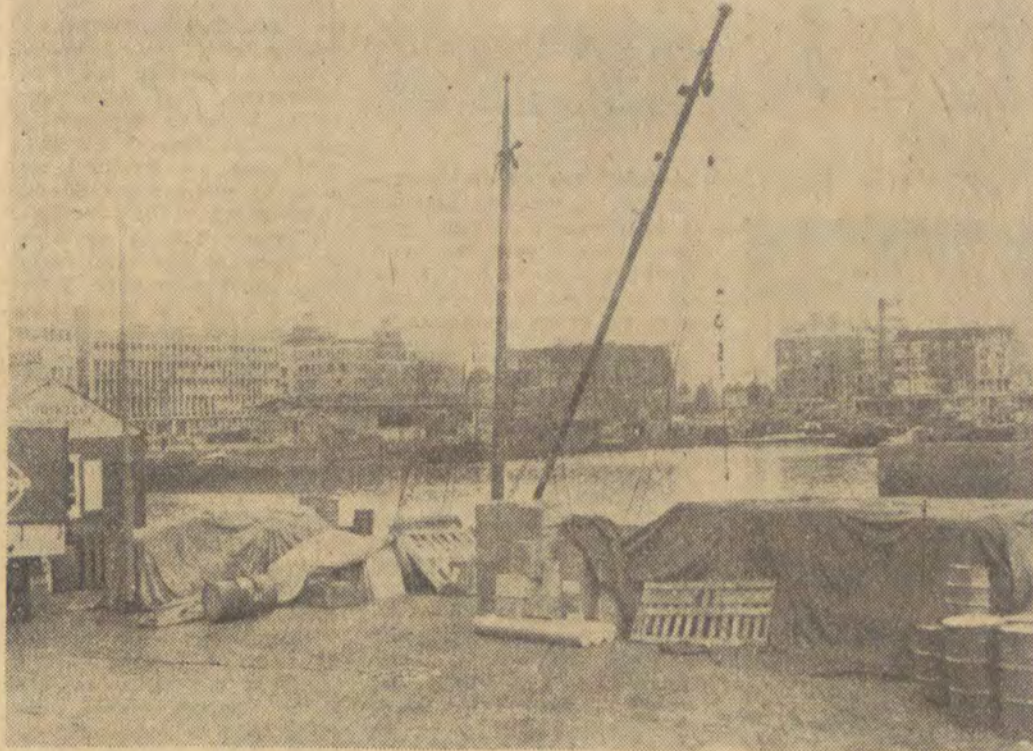


W maju br. zapowiedzieliśmy cykl reportaży Wiesława Góreckiego pod nazwą „Przez porty świata”. Miały to być zapiski z podróży długości 60.000 kilometrów, jaką nasz wysłannik odbył na dziesięciotysięczniku „M/S General Sikorski”. Rozpoczął przed wakacjami (w numerze 22) druk reportaży musieliśmy przerwać z powodu niedyspozycji Autora. Podejmujemy kontynuację tego cyklu w przekonaniu, że jest on nadal nie mniej interesujący. Fakt, że teraz, po kanikule, śledzić go będzie mogło więcej Czytelników, jest dla nas w tym „losowym przypadku” okolicznością pocieszającą.

REDAKCJA



Fragmenty zabytkowej architektury — wieże katedry



Antwerpia — fragment portu.

Gdy „karmiliśmy rybki”...

Północne Morze wykotysało nas solidnie. Statek, krótkimi, gwałtownymi ruchami kładł się z lewej burty na prawą. Pierwszy raz mieliśmy trudności z jedzeniem. Pierwszy raz jak się to mówi w statkowym żargonie „karmiliśmy rybki”. Nie psuje to jednak atmosfery na statku. Wszyscy są jeszcze „pełni” domu. Rejs trwa dopiero dwa tygodnie. W marynarskim kalendarzyku znaczy to tyle, co nic. A te 1500 kilometrów, które dzielą nas od domu? Furda. Co to jest dla ludzi, którzy już dziesiątki razy objechali kulę ziemską dookoła, a także w tym rejsie zrobią półtora raza tyle kilometrów, co obwód ziemskiego globu.

Zbliżamy się do Antwerpii — największego portu Belgii i jednego z największych portów świata. Mijamy okazały budynek kapitanatu portu. Opuszczeniem bandery do połowy masztu salutujemy pomnik poległych w czasie II Wojny Światowej. Po chwili dwa krępe holowniki ciągną nas do nadbrzeża.

Latający Reporter Egon Erwin Kisch w czasie swych fantastycznych dziennikarskich przygód miał wiele szczęścia nie tylko wtedy, kiedy z brawurą odważa skakać ze statku do morza, aby wylądować w Australii, dokąd nie chciano go wpuszczać. Egon Erwin miał także szczęście do dziwnych spotkań. W Sin-Singu spotkał kolegę z ławy szkolnej, w Tadżykistanie kolegę z pulku, w Monte Carlo przy obłudzie WC kolegę z drużyny futbolowej, a w Antwerpii na ulicy przyjaciela ze studentekich czasów. Dla mnie — przepraszam za to zestawienie — przypadki były mniej łaskawe. W notiesie miałem starannie wykaligrafowany adres pewnego właściciela sklepu jubilerskiego na Pelikanstraat. Temu właśnie adresowi zawdzięczam pierwszą znajomość w tym mieście i pierwsze o nim wiadomości.

Ulica handlarzy diamentów

Pelikanstraat to nie jest taka sobie zwykła ulica. Jeśli wymieniam jej nazwę, to dlatego abyście ją sobie zapamiętali. Gdy kiedyś przeczytacie krótką depechę prasową o jakiejś aferze przemytniczej, nie zdziwiecie się, o ile padnie nazwa tej ulicy. Bo choć czasy jej świetności przeminęły i co wybitniejsi wzbogaceni przedstawiciele branży przenieśli się w inne dzielnice, to jednak Pelikanstraat nie przestała być tym czym była od lat — ulicą handlarzy diamentów.

Pelikanstraat jest długa, wąska, szara i nie ma w sobie nic z wielkomiejskiego blachtru centrum Antwerpii, gdzie mieszczą się teraz największe firmy jubilerskie, olbrzymie luksusowe sklepy, potężne koncerty handlowe, zawdzięczające swe bogactwo Kongu Belgijskiemu. Wiele tych znacznych, strzelających kolorami neonowych reklam firm zaczynało kariery właśnie na Pelikanstraat. Dziś próbują tam szczęścia następnicy. Można tu porozumieć się niemal we wszystkich językach świata. Handlarze i właściciele sklepów mówią po angielsku, władają francuskim, rosyjskim, niemieckim, rumuńskim, polskim, żydowskim. Najczęściej też nie są rodowitymi Belgami, lecz wywożą się z różnych krajów Europy i na śliskiej drodze półlegalnego handlu lub przemytu szukają szansy wzbogacenia się. Niektórym to „wychodzi”, inni szybko trafiają do kartotek policji belgijskiej lub Interpolu.

Kłopoty przemytników

Dlaczego właśnie Antwerpia stała się w Europie jednym z centralnych punktów przemytniczej działalności? Przyczyn jest bardzo wiele i nie sposób wymienić wszystkich bez grzebania się w dalekiej historii.

Ryzyko jest jednak stałym elementem walki o wzbogacenie się. Ryzykują ci, co na rzecznych barkach pływających z Szwajcarii do Belgii przemycają ogromne ilości zegarków „Made in Swiss”, hurtownicy i detaliści z Pelikanstraat, marynarze którzy zakupione tu zegarki rozwożą po całym świecie. Ryzyko — to nie tylko możliwość wykrycia

przez celników. Bywa i inaczej. Słynna jest w polskiej flocie historia pewnego marynarza, który zakupił większą partię zegarków i pragnąc je przemycić do kraju ukrył w jakimś nidy nie używanym zapasowym silniku elektrycznym. Po przyjeździe do kraju w czasie rewizji celnej jakiś asystent oczekując na koniec kontro-

swój milion w Totku. Wielka wygrana pada jednak bardzo rzadko. Wielkie bogactwo (albo wielki wyrok sądowy i długa odsiadka) zdobywają jeszcze dziś — choć już bardzo rzadko, tylko hurtownicy, nastawieni wyłącznie na zaopatrywanie szajek przemytniczych. Szajki te dysponują najczęściej własnymi niewielkimi stat-

niż celnicy. Tak, to nie żarty. Oto Japonia zaczyna produkować ogromne ilości takich zegarków i zarzuca nimi rynki Azji. Zegarek, który jeszcze do niedawna był w ZSRR symbolem zamożności staje się produktem eksportowym tego kraju. Teraz już nie tylko trudno jest przemycić, ale jeszcze trudniej sprzedać. Tak, tak — skończyli się żarty, zaczęli się schody — jak mawia warszawski rodak.

Więc prawdę mówiąc Pelikanstraat trochę podupada. Dlatego niech Was nie zdziwi — jeśli znajdziecie się kiedyś na tej ulicy, że zaczepiający was handlarze nie mają wesołych min. Ale legenda Pelikanstraat trwa. Miejscowe biura podróży robią zresztą na tej legendzie zupełnie niezłe interesy. Żadnym sensacji turystom oferują jako jedną z największych atrakcji z dreszczykiem zwiedzanie Pelikanstraat — ulicy przemytników. Przewodnicy opowiadają turystom dzieje słynnych band przemytniczych i wielkich przemytników, którzy tu zbijali swój majątek. Pośród wielu legend zupełnie albo częściowo nieprawdziwych — jedna choć z pozorów nieprawdopodobna warta jest przytoczenia.

Historia braci Barnato

Bracia Barnato byli z zawodu humorystami - akrobatami. W początkach lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia występowali w okolicach Johannesburga, pełnego w tym czasie poszukiwaczy diamentów. Jakiś pijany poszukiwacz sprzedał braciom garść tych kamieni. Ale cena, jaką zapłacili za te

błyskotki była taka, że bracia mieli poważne wątpliwości, czy owe błyszczące szkiełka podobne trochę do kawałków skryształizowanej soli nie okażą się bezwartościowymi błyskotkami, które będą mogli w najlepszym wypadku przyczepić do swych błazeńskich kostiumów. Pożegnowali ze swymi szkiełkami do Antwerpii. Tu podobno właśnie na ulicy nazwanej obecnie Pelikanstraat przekonano braci, że ich szkiełka warte są bardzo dużo. Bracia zrobiliwszy tak dobry interes rozpoczęli wielki handel diamentami.

Odtąd poszukiwacze diamentów w Kimberley, Bultfontain, Dutoitspan, Wessleton, Jagersfontain wysyłali wszystkie kawałki „skryształizowanej soli” na adres braci Barnato. A bracia przydzielali diamenty powstałym licznie w Antwerpii szlifierniom. Przemysł diamentowy, jaki powstał w okolicach wschodniej Flandrii czyli w okolicach Antwerpii, stał się wkrótce centrum światowego handlu diamentami.

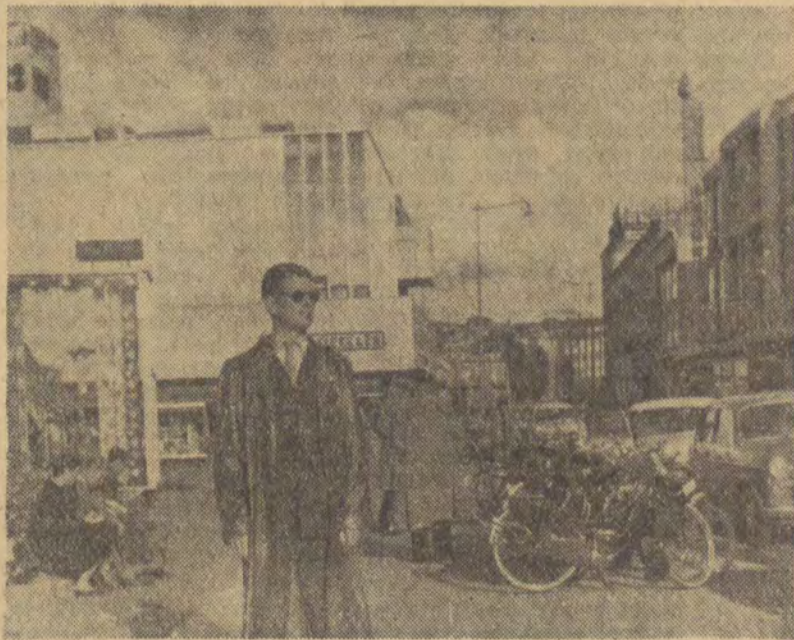
Cóż! Opowiadka wcale ciekawa i zawiera w sobie jakiś kawałek prawdy o bogactwie tego kraju. Powiadam: kawałek, bo sprawa jest oczywiście szersza i o wiele bardziej skomplikowana. Prawdę też warto jednak uzupełnić pewnymi liczbami. Proszę się nie trwożyć, liczb będzie tylko kilka i przyrzekam nie podlewać ich żadnym sosem propagandy. Mówią same za siebie.

Belgia jak powszechnie wiadomo liczy około 9 milionów mieszkańców. Jedna tylko kolonia belgijska Kongo liczy około 15 milionów mieszkańców. Kongo pracuje wyłącznie na rachunek metropolii. Jest krajem bogatym jak rzadko. Posiada ogromne, jedne z największych na świecie złoża uranu, ponadto metale kolorowe, złoto, diamenty, bawełnę i wiele innych bogactw. W roku 1927 wartość surowców wywiezionych z Konga wynosiła 37 milionów dolarów.

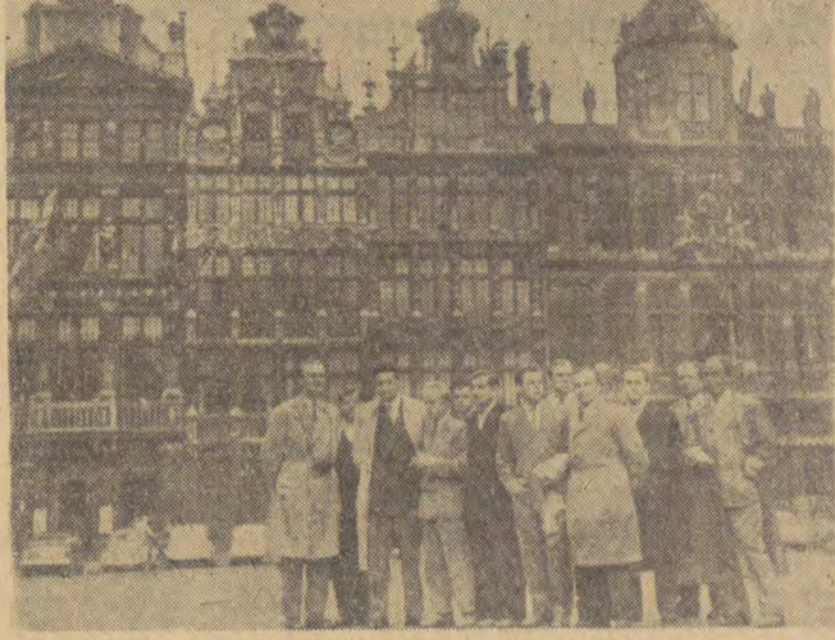
W roku 1949 wzrosła do 237 a w roku 1955 do 454 milionów dolarów. W ostatnich latach wartość surowców wywiezionych w Konga zwiększyła się wielokrotnie, ale wzrosły także w sposób niebezpieczny niepokoje wśród Murzynów. Co będzie kiedy Belgia zacznie pracować sama na siebie?

Za tydzień:

DUNKIERKA. MARY NARSKA „GADKA O BISKAJUD”. EPIZOD Z PANTELARII PORT SAID I ALI KTÓRY „MÓWIĆ PO POLSKIEMU”.



Tak wyglądał autor na antwerpskim bruku



„Wilki morskie” z M/S „General Sikorski” na antwerpskiej tarawce.

TERESA
ZWIERZCHOWSKA
Zdjęcie:
E. Przybyłowicz

LUDZIE



PAŁACYK NA KOŃCU
ŚWIATA

Naturalnie, to tylko taka przenośnia. W samej rzeczy pałacyk leży w odległości 4 do 5 km. od miasta powiatowego Brzeziny. Jest dobrze zakonserwowany, utrzymany w stylu barokowym. We wnętrzu zachowały się bogate boazerie i kafelkowe piece o dość niezwykłych kształtach.

Efekt psuje tylko drobny rzucik na ścianach czyli tzw. „wałek” — dzieło miejscowych mistrzów malarstwa ściennego.

Kierowniczkę zastaje w kancelarii. Podejmuje własnie herbatka gości z inspektora. Jest przejęta rolą gospodyni domu. Stanowisko kierowniczkę objęła niedawno. Jej poprzednik był pomocnikiem w pewnym sensie niezwykłym. Dokonał on jedynego w swym rodzaju wyczynu. Upijał się tak dokumentnie i systematycznie, że ani rusz nie można było wydebić od niego podpisu pod

czułości. Ich umysł zatrzymał się w pewnym stadium rozwojowym i de facto prawie żadna z nich nie przekroczyła 10 roku życia. Sa więc jak dzieci wrażliwe, jak dzieci bezbronne.

Kierownicza to czuje z kobiecą intuicją. Swe względy rozdziela jednak oszczędnie w obawie by nie straciły swej ceny. Dziewczeta nazywają ją mamą, matką, matusią. W pewnych okolicznościach jednak potrafią równie dobrze sypać „kuchenną łaniną”. Byłam mimowolnym świadkiem takiego monologu zdenerwowanej pensjonariuszki.

Dopiero interwencja kierowniczką uśmierzyła jej gniew i przerwała potok wymowy. Poszło o to, że któraś z dziewcząt nazwała ją wariatką.

spoza

Dla tych dziewcząt to kamień obrazu. Nie wiedzą, że cała ich tragedia polega na tym właśnie, że są mniej więcej normalne. Są mądre na tyle, aby zdawać sobie sprawę ze swego położenia i boleć nad nim w każdej minucie swego życia. Zdają sobie również sprawę z nieodwracalności swego losu i ta świadomość jest przyczyną popadania w czasową depresję. Dzieje się to wtedy, gdy życie w brutalny sposób przypomni im gdzie są i kim są. Tak się zdarzyło Paulinie...

KRÓLEWICZ Z BAJKI

Idziemy z kierowniczką alejką nad stawem. Miejsce to zachęca niemal do spacerów o zmroku, intymnych zwierzeń. Pani Z. opowiada mi historię Pauliny.

Widziałam ją na schodach pałacu. Jest nawet ładna. Brak jej tylko odpowiedniej oprawy. Ma czarne błyszczące oczy, włosy gładko przyczesane i niedbały chód. Porusza się tak jakby każdym gestem chciała podkreślić swój lekceważący stosunek do świata i jego spraw.

Gdy się śmieje, oczy jej pozostają poważne. Czuł się w nich niepokój wiecznie czujnego zwierzątka.

To ona właśnie podeszła kiedyś do kierowniczkę z pytaniem:

— Czy mam tu siedzieć tak do śmierci?

Pytanie było poważne. Pensjonariuszki tego domu rzadko zastanawiają się nad swoją przyszłością. Żyją dniem dzisiejszym. Pytania nie można było zbyć byle

czym i byle jak. Kierownicza pociągnęła Paulinę do kancelarii i tam odbyła się między nimi, tzw. poważna rozmowa. Paulina nie jest imbecylem. Jest tylko niezdolna i leniwa. Wychowała się w Domu Dziecka, nikt więc nie troszczył się o to, by walczyć z tymi jej przyzwyczajeniami. Nie chciała się uczyć, oddano ją więc do Zakładu, gdy tylko osiągnęła odpowiedni wiek. I teraz przyszły refleksje, bo Paulina ma 20 lat, i chce mieć życie osobiste.

— Naucz się zawodu — poradziła jej kierownicza.

— przychodzi na lekcje do szwaczki.

Posłuchała, przychodziła. Przez całe dwa tygodnie była pilna i przykładała. Pewnego dnia jednak nie przyszła na zajęcia. Wzięła koc i książkę (co już samo było niecodziennym zjawiskiem) i zaszła się w głąbi parku. Codziennie powtarzała się ta sama historia. Paulina zniknęła wracając tylko w godzinach popołudniowych. Stała się mruklawa i nieprzystępna. Posiłki

zjadała w milczeniu z oczyma utkwiwionymi w talarz. W pokoju szukała zwady z dziewczętami, wpadała w furję, piekła się o byle drobiazgi. W końcu dziewczęta poskarżyły się kierownicze. Kierownicza zaczęła ją obserwować. Zauważyła kilkakrotnie, że Paulina stoi godzinami za ogrodzeniem i uparcie nieuchomo wpatruje się w jakiś punkt nad stawem. Podeszła do niej cicho i położyła rękę na ramieniu.

— Co ci jest? — Dziewczyna wzruszyła ramionami.

Trzeba było długiej perswazji, by wreszcie przełamać jej opór. Zalała się pod naporem ciepłych słów

swej opiekunki. Kozłowała się żałośnie jak skrzywdzone dziecko — powiesze się i tak i tak — mówiła przez łzy. W końcu przyznała się do wszystkiego. To była miłość. Jej pierwsza miłość. Poznała go nad stawem. Łowił ryby. Może odezwał się do niej, a może nie. Możliwe i to nawet, że nie było go wcale, a wyzawała go bujna fantazja dwudziestolatki. Może był tylko mitem, jej marzeniem. Nie potrafi określić jak wyglądał. Twierdzi jednak uparcie, że przychodził i spotykał się zawsze w tym samym miejscu. On łowił ryby, a ona towarzyszyła

mu w milczeniu. Potem przestał przychodzić, a ona czekała i myślała o nim, o sobie, o życiu...

Gdyby chodziło o zwykłą, zdrową dziewczynę z tamtej strony ogrodzenia cała historia nie warta byłaby wzmianki, bo w końcu jest ona dość banalna. W wypadku Pauliny incydent urasta do miary tragedii. Przypomni jej raz jeszcze, że ona nie ma prawa do życia osobistego, że żaden chłopiec nigdy nie może jej pokochać, bo jest napiętnowana jako pensjonariuszka domu specjalnego, bo we wszystkim o niej „wariata”. A przecież jest młodą fizycznie dobrze rozwiniętą i jak każda dziewczyna w jej wieku piastuje swe tańskie marzenia o królewcu z bajki.

Nie wiem jak to nazwać: bezmyślność? Okrucieństwo? Wszystkie te określenia są zbyt słabe i nie trafiają w sedno. Jestem w stanie zrozumieć to, że chłopcy ze wsi nie szukają kontaktu ze swymi rówieśnikami z Zakładu. To zrozumiałe. Dlaczego więc nie pozostawia ich w spokoju? Dlaczego niektórzy z nich znajdują szczególną przyjemność w tym, by prześladować dziewczęta, wytykając im to, o czym chciałyby zapomnieć, ich duchowe kalectwo? Jest w tym małąpiałą złośliwość ludzi silnych a nie grzeszących rozumem.

Zdarzyło się raz, że dziewczęta wracając ze spaceru spotkały na swej drodze grupę rowerzystów. Byli to chłopcy ze wsi. Ukazane się dziewczęta stało się dla nich sygnałem do rozpoczęcia zabawy. Wsiadli na rowery i zaczęli najeżdżać na maszerujące w szeregu dziewczęta. Powstał pisk i hałas. O to im właśnie chodziło. Najlepsza zabawa bowiem zaczyna się wtedy, gdy dziewczęta popadały w gniew i w niewybrednych słowach wy-

powiedzieć chciałyby się zaproponować, by zbudowano zakład specjalny dla tych wszystkich, którzy nie znają podstawowych zasad humanitaryzmu. W wieku XX takie zakłady miałyby wdzięczne pole do działania.

lewała swą, dość uzasadnioną zresztą, nienawiść do świata ludzi normalnych.

Nie wiem, skąd w tych bezmyślnych głowach legnie się przekonanie o tym, że Zakład Specjalny jest zakładem ludzi wyjętych spod prawa. Bo ich zachowanie wskazuje na to, że tak właśnie, myślą.

Sluchając tego rodzaju wypowiedzi chciałoby się zaproponować, by zbudowano zakład specjalny dla tych wszystkich, którzy nie znają podstawowych zasad humanitaryzmu. W wieku XX takie zakłady miałyby wdzięczne pole do działania.

Sluchając tego rodzaju wypowiedzi chciałoby się zaproponować, by zbudowano zakład specjalny dla tych wszystkich, którzy nie znają podstawowych zasad humanitaryzmu. W wieku XX takie zakłady miałyby wdzięczne pole do działania.

CI, DLA KTÓRYCH NIE MA PARAGRAFU

To jeszcze nie wszystko. Pozostają rodzice tych dziewcząt. Kierownicza pokazywała mi list jednej z matek.

W liście tym rodzicielka nie pyta o dziecko. Dała mu życie, spełniła więc swój chrześcijański obowiązek. Reszta ja nie obchodzi. Dziś martwi ją tylko to, że państwo żąda od niej jakichś świadczeń na rzecz swego własnego dziecka. W liście upewnia się czy koniecznie musi kupić dziecku sukienkę, bo jeśli nie jest jeszcze bardzo zniszczona to może poczekać z tym sprawunkiem. To targowanie się o drobiazgi napawa niesmakiem.

Wśród dzieci w Zakładzie poważny odsetek stanowią dziewczęta z tzw. „nieprawego łoża”. Te dzieci nie są gorsze, nie są napiętnowane, jakby to chcieli nam wmówić dewotki z kółka różańcowego. Faktem jest jednak, że te dzieci traktuje się, jako zło konieczne. Od dzieciństwa oddaje się je do Domu Dziecka, a jeśli zostają z matką, nabywają wczesnie kompleksu mniejszej wartościowości. Takim klasycznym przykładem jest Basia.

Przywiozła ją matka, bo ponoć lekarze stwierdzili, że jest niedorozwinięta. (Nie dziwnego, w takich warunkach...). Basia jest nieślubnym dzieckiem. Gdy matka wyszła zamaż Basia stała się popychadłem. Piastowała swe liczne rodzeństwo. Zaukna i bicia Basia przestała mówić. Snuła się po domu jak cień, spełniając w milczeniu polecenia matki i ojczyma. Snuła się jak niemy wyrzut panińskiego (problematycznego zresztą) grzechu swej matki.

Nie posłano jej do szkoły. Dla niej zabrakło pieniędzy. Była dzieckiem drugiej kategorii — bekartem.

W Zakładzie Basia prze-

mówiła po raz pierwszy od lat. Tu zaczęła się uczyć abecadła.

Basia i Paulina to raczej wyjątki w tym domu. Podstawowy procent pensjonariuszek Zakładu w Lisowicach to dzieci alkoholików. Te dziewczęta nie mają żadnych szans na to, by odmienić swój los, by zbudować sobie własne życie osobiste w świecie ludzi normalnych. Medycyna jest tu bezsilna, bezsilni są ludzie dobrej woli. Będą w tym Domu w świadomości swego upośledzenia tylko dlatego, że ich rodzice w swej zwierzej bezmyślności skazali je na tragedię bytu.

Basia i Paulina to raczej wyjątki w tym domu. Podstawowy procent pensjonariuszek Zakładu w Lisowicach to dzieci alkoholików. Te dziewczęta nie mają żadnych szans na to, by odmienić swój los, by zbudować sobie własne życie osobiste w świecie ludzi normalnych. Medycyna jest tu bezsilna, bezsilni są ludzie dobrej woli. Będą w tym Domu w świadomości swego upośledzenia tylko dlatego, że ich rodzice w swej zwierzej bezmyślności skazali je na tragedię bytu.

Basia i Paulina to raczej wyjątki w tym domu. Podstawowy procent pensjonariuszek Zakładu w Lisowicach to dzieci alkoholików. Te dziewczęta nie mają żadnych szans na to, by odmienić swój los, by zbudować sobie własne życie osobiste w świecie ludzi normalnych. Medycyna jest tu bezsilna, bezsilni są ludzie dobrej woli. Będą w tym Domu w świadomości swego upośledzenia tylko dlatego, że ich rodzice w swej zwierzej bezmyślności skazali je na tragedię bytu.

Basia i Paulina to raczej wyjątki w tym domu. Podstawowy procent pensjonariuszek Zakładu w Lisowicach to dzieci alkoholików. Te dziewczęta nie mają żadnych szans na to, by odmienić swój los, by zbudować sobie własne życie osobiste w świecie ludzi normalnych. Medycyna jest tu bezsilna, bezsilni są ludzie dobrej woli. Będą w tym Domu w świadomości swego upośledzenia tylko dlatego, że ich rodzice w swej zwierzej bezmyślności skazali je na tragedię bytu.

Basia i Paulina to raczej wyjątki w tym domu. Podstawowy procent pensjonariuszek Zakładu w Lisowicach to dzieci alkoholików. Te dziewczęta nie mają żadnych szans na to, by odmienić swój los, by zbudować sobie własne życie osobiste w świecie ludzi normalnych. Medycyna jest tu bezsilna, bezsilni są ludzie dobrej woli. Będą w tym Domu w świadomości swego upośledzenia tylko dlatego, że ich rodzice w swej zwierzej bezmyślności skazali je na tragedię bytu.

Basia i Paulina to raczej wyjątki w tym domu. Podstawowy procent pensjonariuszek Zakładu w Lisowicach to dzieci alkoholików. Te dziewczęta nie mają żadnych szans na to, by odmienić swój los, by zbudować sobie własne życie osobiste w świecie ludzi normalnych. Medycyna jest tu bezsilna, bezsilni są ludzie dobrej woli. Będą w tym Domu w świadomości swego upośledzenia tylko dlatego, że ich rodzice w swej zwierzej bezmyślności skazali je na tragedię bytu.

Basia i Paulina to raczej wyjątki w tym domu. Podstawowy procent pensjonariuszek Zakładu w Lisowicach to dzieci alkoholików. Te dziewczęta nie mają żadnych szans na to, by odmienić swój los, by zbudować sobie własne życie osobiste w świecie ludzi normalnych. Medycyna jest tu bezsilna, bezsilni są ludzie dobrej woli. Będą w tym Domu w świadomości swego upośledzenia tylko dlatego, że ich rodzice w swej zwierzej bezmyślności skazali je na tragedię bytu.

Basia i Paulina to raczej wyjątki w tym domu. Podstawowy procent pensjonariuszek Zakładu w Lisowicach to dzieci alkoholików. Te dziewczęta nie mają żadnych szans na to, by odmienić swój los, by zbudować sobie własne życie osobiste w świecie ludzi normalnych. Medycyna jest tu bezsilna, bezsilni są ludzie dobrej woli. Będą w tym Domu w świadomości swego upośledzenia tylko dlatego, że ich rodzice w swej zwierzej bezmyślności skazali je na tragedię bytu.

Basia i Paulina to raczej wyjątki w tym domu. Podstawowy procent pensjonariuszek Zakładu w Lisowicach to dzieci alkoholików. Te dziewczęta nie mają żadnych szans na to, by odmienić swój los, by zbudować sobie własne życie osobiste w świecie ludzi normalnych. Medycyna jest tu bezsilna, bezsilni są ludzie dobrej woli. Będą w tym Domu w świadomości swego upośledzenia tylko dlatego, że ich rodzice w swej zwierzej bezmyślności skazali je na tragedię bytu.

Basia i Paulina to raczej wyjątki w tym domu. Podstawowy procent pensjonariuszek Zakładu w Lisowicach to dzieci alkoholików. Te dziewczęta nie mają żadnych szans na to, by odmienić swój los, by zbudować sobie własne życie osobiste w świecie ludzi normalnych. Medycyna jest tu bezsilna, bezsilni są ludzie dobrej woli. Będą w tym Domu w świadomości swego upośledzenia tylko dlatego, że ich rodzice w swej zwierzej bezmyślności skazali je na tragedię bytu.

Basia i Paulina to raczej wyjątki w tym domu. Podstawowy procent pensjonariuszek Zakładu w Lisowicach to dzieci alkoholików. Te dziewczęta nie mają żadnych szans na to, by odmienić swój los, by zbudować sobie własne życie osobiste w świecie ludzi normalnych. Medycyna jest tu bezsilna, bezsilni są ludzie dobrej woli. Będą w tym Domu w świadomości swego upośledzenia tylko dlatego, że ich rodzice w swej zwierzej bezmyślności skazali je na tragedię bytu.

Basia i Paulina to raczej wyjątki w tym domu. Podstawowy procent pensjonariuszek Zakładu w Lisowicach to dzieci alkoholików. Te dziewczęta nie mają żadnych szans na to, by odmienić swój los, by zbudować sobie własne życie osobiste w świecie ludzi normalnych. Medycyna jest tu bezsilna, bezsilni są ludzie dobrej woli. Będą w tym Domu w świadomości swego upośledzenia tylko dlatego, że ich rodzice w swej zwierzej bezmyślności skazali je na tragedię bytu.

Basia i Paulina to raczej wyjątki w tym domu. Podstawowy procent pensjonariuszek Zakładu w Lisowicach to dzieci alkoholików. Te dziewczęta nie mają żadnych szans na to, by odmienić swój los, by zbudować sobie własne życie osobiste w świecie ludzi normalnych. Medycyna jest tu bezsilna, bezsilni są ludzie dobrej woli. Będą w tym Domu w świadomości swego upośledzenia tylko dlatego, że ich rodzice w swej zwierzej bezmyślności skazali je na tragedię bytu.

Basia i Paulina to raczej wyjątki w tym domu. Podstawowy procent pensjonariuszek Zakładu w Lisowicach to dzieci alkoholików. Te dziewczęta nie mają żadnych szans na to, by odmienić swój los, by zbudować sobie własne życie osobiste w świecie ludzi normalnych. Medycyna jest tu bezsilna, bezsilni są ludzie dobrej woli. Będą w tym Domu w świadomości swego upośledzenia tylko dlatego, że ich rodzice w swej zwierzej bezmyślności skazali je na tragedię bytu.

Basia i Paulina to raczej wyjątki w tym domu. Podstawowy procent pensjonariuszek Zakładu w Lisowicach to dzieci alkoholików. Te dziewczęta nie mają żadnych szans na to, by odmienić swój los, by zbudować sobie własne życie osobiste w świecie ludzi normalnych. Medycyna jest tu bezsilna, bezsilni są ludzie dobrej woli. Będą w tym Domu w świadomości swego upośledzenia tylko dlatego, że ich rodzice w swej zwierzej bezmyślności skazali je na tragedię bytu.

Basia i Paulina to raczej wyjątki w tym domu. Podstawowy procent pensjonariuszek Zakładu w Lisowicach to dzieci alkoholików. Te dziewczęta nie mają żadnych szans na to, by odmienić swój los, by zbudować sobie własne życie osobiste w świecie ludzi normalnych. Medycyna jest tu bezsilna, bezsilni są ludzie dobrej woli. Będą w tym Domu w świadomości swego upośledzenia tylko dlatego, że ich rodzice w swej zwierzej bezmyślności skazali je na tragedię bytu.

Basia i Paulina to raczej wyjątki w tym domu. Podstawowy procent pensjonariuszek Zakładu w Lisowicach to dzieci alkoholików. Te dziewczęta nie mają żadnych szans na to, by odmienić swój los, by zbudować sobie własne życie osobiste w świecie ludzi normalnych. Medycyna jest tu bezsilna, bezsilni są ludzie dobrej woli. Będą w tym Domu w świadomości swego upośledzenia tylko dlatego, że ich rodzice w swej zwierzej bezmyślności skazali je na tragedię bytu.

Wskazówka barometru idzie w górę

(Dokończenie ze str. 2)

isnąć. Ale wisi nad naszym globem wielki znak zapytania jak współistnieć. Do współistnienia prowadzi szeroki asfaltowy gościniec rozbrojenia. Ale wątpliwe należy czy właśnie tym gościniecem pojadą w swą ostatnią drogę armady czołgów, armat i rakiet, by zniknąć raz na zawsze w otchłani oceanów.

I w tym właśnie miejscu przestaje wierzyć w szybkie szczęśliwe rozwiązanie.

Jalowość wyścigu zbrojeń została uznana już przez wszystkich lub prawie wszystkich. Wszyscy sobie zdają sprawę z tego, że wyścigu zbrojeń nie moż-

na wygrać. A tymczasem jest gdzie ładować miliardy dolarów.

Co bardziej dalekosiężne umysły na Zachodzie zdają sobie sprawę z tego, że narasta połączny konflikt między światem krajów wysoko rozwiniętych przemysłowo, a światem narodów niedzarzy. W Stanach Zjednoczonych roczny dochód na głowę jednego mieszkańca wynosi blisko 1.900 dolarów. W wielu krajach Afryki i Azji ten sam roczny dochód wynosi 30 dolarów. Efektowna różnica o ile wyrażają ją cyfry, ale w życiu różnica ta jest jeszcze efektowniejsza. W wielu krajach Azji i Afryki toczy się bój ze śmiercią głodo-

wą, o przepaskę na biodra, o garść ryżu. I to wszystko w dniach kiedy człowiek mierzy daleko, w międzyplanetarnej przestworza.

Przed trzema tygodniami znalazła się w naszej prasie niewielka notatka o tym, że dochód narodowy w Indiach na głowę jednego mieszkańca w 1959 r. jest niższy niż w roku 1957. I to w Indiach, które otrzymują wielką pomoc ze Wschodu i Zachodu, w Indiach pod koniec realizacji drugiego planu 5-letniego, w Indiach rządzonych przez mądrego i światłego premiera Nehru. Kryzys. Ciężki kryzys prawie bez wyjścia toczy Indonezję, Burmę, Pakistan. Wiele krajów tego rejonu jak Południowy Wietnam czy Syjam żyje na amerykańskim garnuszku.

Młode kraje Afryki i Azji przegrywają wyścig między

przyrostem ludności, a przyrostem produkcji. Jest jeden kraj, który wygrywa wyścig. Tym krajem są Chiny Ludowe. Wygrywa go w ciężkich warunkach ofiarnej pracy setek milionów swych obywateli, ale wygrywa. Azja i Afryka ma jeden wielki, pozytywny przykład — Chiny Ludowe. O ile więc Zachód nie przestanie na rozwój gospodarczy krajów Azji i Afryki dziesiątkami miliardów dolarów, to przykład ten zacząłby działać. A więc narasta konieczność przetrwania ciężaru walki między kapitalizmem a socjalizmem z jałowego wyścigu zbrojeń, tam do Azji i Afryki.

Być może sięgnęłam zbyt daleko w przyszłość. Możemy stanu bywają często mniej przewidyujący niż się to powszechnie uważa. Działają na nich określone

doraźne siły. W dzisiejszej Ameryce nie bez znaczenia jest to, iż całe gałęzie przemysłu prosperują dzięki zbrojeniom. 30 tysięcy wojсковых zatrudnionych w samym tylko Pentagonie też reprezentuje poważny ciężar gatunkowy.

Nie ulega jednak wątpliwości, że świat może nie asfaltową autostradą, ale krętymi, trudno dostępnymi ścieżkami zmierzać będzie ku rozbrojeniu. Matką rozbrojenia jest zaufanie między mocarstwami. Właśnie z powodu braku wzajemnego zaufania wszystkie plany rozbrojenia i te najbardziej śmiałe i te częściowe, nie są realizowane. Możliwość ich realizacji rozbiła się jak dotąd o problem kontroli.

Chruszczow stwierdził w czasie swojego przemówienia w ONZ, że nie nadszedł

jeszcze czas na powszechną, wszechobejmującą kontrolę, że wprawdzie trzeba się porozumieć co do rozbrojenia. Decyzje w sprawie kontroli są pochodną decyzji rozbrojenia. Trudno odsonować swoje karty w warunkach osaczenia obcymi bazami. Nieufność, obawa przed atakiem wzrosłaby wówczas.

Zachodni politycy twierdzą natomiast, że trzeba zacząć rozbrojenie od wszechobejmującej kontroli.

Różnice zdań są duże. Nie będą chyba jeszcze szybko usunięte, ale to nie znaczy, że nigdy nie będą usunięte. Rozmowy Chruszczow — E'senhower zapoczątkowały proces topienia lodów. Długi i trudny proces szukania odpowiedzi na wielkie pytanie. JAK WSPÓLISTNIEĆ?

JACEK LEBEN



Eugeniusz Pisarek

Eugeniusz Pisarek jest absolwentem Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, uczniem Mehoffera i Pienkowskiego. W pierwszych latach po wojnie, nawiązując do tradycji impresjonizmu, zaprezentował nam w ekspozycjach na wielu wystawach bardzo interesujących pejzażach i martwych naturach — rozwiązywanie plastyczny obrazu wyłącznie przy pomocy efektów kolorystycznych. Okres pobytu artysty w Paryżu, na przełomie 1956—57 roku jest okresem decydującym o dalszej twórczości Eugeniusza Pisarka. Właśnie w owym okresie powstają nowe kompozycje abstrakcyjne, po-

wania, twórcze swobody. Uważam, że malarstwo, podobnie jak inne dziedziny sztuki, winno mieć swoje własne środki wyrazu, swój własny „język”. Nie lubię jednak malarstwa bełkotu. Niech każdy maluje co chce i jak chce, byle tylko w malarstwie tym było można odnaleźć oblicze jego twórcy.

Przykładem dużej konsekwencji malarstwie jest dla mnie Leger. Może on się podobać lub nie, faktem jest jednak, że w jego malarstwie jest jakaś zniechęcająca siła. I to jest sprawdzianem, że mamy do czynienia z twórcą z prawdziwego zdarzenia. Moja droga twórcza jest dość typowa dla całego pokolenia. Panującym niepodzielnie kierunkiem był postimpresjonizm, cezannizm. Siłą faktu miało się w tej konwencji. Stopniowo jednak, w miarę nabywania odwagi twórczej, wyzwoliłem się z akademickich nawyków twórczych. Przechodziłem więc okres czerwieni i brzozy, zarzucając szeroko gamę barw postimpresjonistów. Potem, stopniowo zacząłem upraszczać formy. Wreszcie pozwoliłem sobie na odważne zarzucenie form znanych, zaczerpniętych ze świata otaczających nas przedmiotów i zacząłem szukać nowych. Była to naturalnie konsekwencja przebytej drogi i dziś odnośnie wrażenie, że w abstrakcji wreszcie odnalazłem siebie.

— Co Pan sądzi o przyszłości sztuki nieprzedstawiającej?

— Pan ma na myśli formę abstrakcyjną, prawdę? Bo ostatecznie w każdej formie malarza coś przedstawia. Współczesne malarstwo, zmierzając ku formom abstrakcyjnym dlatego, że dzień wczorajszy różni się tak bardzo od dnia dzisiejszego, że opisy i tematy zaczerpnięte z życia pozostawiały pisarzom. Nic więc dziwnego, że stoi przed nami wielka niewiadoma, w której pewnikiem jest tylko to, że w formie abstrakcyjnej dajemy wizję czysto plastyczną, wypełniając plastycznym obrazu kolorem i ukrytymi aluzjami for-



malnymi. Smutne jest tylko to, że dzisiaj sami twórcy — nie wszyscy oczywiście — nie znają języka, którym chcą przemawiać do odbiorcy.

— Jak Pan widzi możliwość zainteresowania odbiorców plastyką współczesną?

— Są takie możliwości. Zrozumiałe, że przemiany w świadomości odbiorców odbywają się wolniej, niż przemiany w samej sztuce. Każda rzecz nowa budzi naturalny sprzeciw. Ludzie domagają się odpowiedzi na pytanie: „Co to jest?”. ponieważ język plastyczny jest dla nich niezrozumiały. Dlaczego? Przecież podobne pytanie mógłby zadać każdy przysłuchujący się poważnej muzyce. Muzyka również przemawia do nas zestawem dźwięków i na to się godzimy. A więc i my w malarstwie przemawiamy czystym znakiem plastycznym. Ale powróćmy do sprawy upowszechnienia.

Jedyna rada, to przywrócić stary, dobry zwyczaj organizowania prelekcji w sali wystawowej. Ta forma była niedługo praktykowana i dawała dobre rezultaty. Dyżurnicy plastyczni oprowadzali zwiedzających, podejmowali dyskusje, wyjaśniali pewne problemy związane ze współczesnym malarstwem. Niemalą rolę w upowszechnianiu wiedzy o malarstwie współczesnym może również spełnić film, a szczególnie telewizja.

— W jakich warunkach Pan pracuje?

— Warunki mieszkaniowe mam znośne. Natomiast materialnie, to już odrobny i niebagatelny problem. Uważam, że praca zarobkowa malarza, odbiegająca od jego zasadniczych zainteresowań, jest kłeską dla twórcy.

— Jak się Pan czuje w Łodzi?

— Mimo że Łódź ma bogatą tradycję w sztuce nowoczesnej, to jednak dzisiaj środowiska artystyczne tu nie ma. Każdy z twórców związany jest tylko z własnym, samotnym kątem, z którego wychodzi bardzo rzadko do sali wystawowej miasta, w którym tworzy, bo o wystawianiu w innym mieście, czy na ogólnopolskim Salonie Sztuki Nowoczesnej w Warszawie nie może być mowy. Tam rządzi specjalna prawa, prawa koterii. Dużo mogłoby zdziałać nasze pismo, gdyby skunilo wokół siebie środowiska artystyczne, ot, chociażby przez organizowanie wystaw w Klubie Dziennikarza czy KMPiK.

Rozmawiał: M. Z.

Miejszadiny

pod redakcją JANA HUSZCZY

Zabawa w naiwniaków

Wiele niezadowolonych klientów — i to nie od dziś — wywołuje praca naszych różnych placówek gastronomicznych: restauracji, jadłodajni, barów i kawiarni.

Konsumenci wiedzą na pewno, dlaczego nie są zadowoleni. Należałoby jednak przypuszczać, iż o przyczynach niezadowolonych powinni także wiedzieć i kadry, pracujące w przemyśle gastronomicznym oraz w gastronomii usługowej. Tak i zażby przypuszczać zdrowy rozsądek.

Zresztą, stale spotyka się alarmujące głosy na te tematy we wszystkich łódzkich gazetach, min. także i w „Dzienniku Łódzkim”. A jednak — ktoś woli udawać naiwnego, niż zająć się rzeczową analizą sytuacji, aby następnie dojść do jakichś konkretnych wniosków zmierzających do jej poprawy.

Tym rzekomo naiwnym postanowił sprzyjać właśnie sympatyczny skądinąd „Dziennik Łódzki”, ogłaszając w niedzielnym numerze z 20 września br. efektowną ankietę — konkurs pod hasłem „Wszyscy usprawniamy pracę zakładów gastronomicznych”.

Redakcja „Dziennika” wraz z Łódzkim Zjednoczeniem Przedsiębiorstw Gastronomicznych i Działem

Przemysłu Gastronomicznego oczekują odpowiedzi i propozycji, dotyczących „urozmaicenia jadłospisów... usprawnienia pracy personelu obsługującego, pomysłów na wyroby garmazeryjne, wreszcie uwag ogólnych”.

Wszystko to jest zaprzeczeniem podstawowej zasady, na której mogą się opierać zdrowe stosunki między przedsiębiorstwami a ich klientami: kto płaci, ten ma prawo wymagać; kto zaś bierze pieniądze, ten jest zobowiązany do tego, żeby nie brać tychże za swoją nieudolność, ślamazarność lub lenistwo!

Po tej ankiecie — konkursie — możemy oczekiwać dalszych. Szewcy zechcą nas pytać, co robić, żeby buty były lepsze. Produkcję radio i telewizję zwrócą się z prośbą o informacje, jak ulepszyć swoją produkcję? Kolejarzy zechcą się dowiedzieć, jak należy postępować, żeby pociągi kursowały regularnie...

W taki sposób można ewentualnie nigdy do niczego nie dojść! Albo powiedzmy inaczej: można dojść do tego, że wszystkiemu winni są konsumenci i klienci, którzy nie pośpieszą z pomocą!

Co do nas, nie możemy udzielić w żadnej z tych ankiet-konkursów, choć możemy wygrać talon na 20 paczków albo i abonament na 3 obłady w „Savoyu”!!!

3-letnie bezpłatne kursy poetyckie???
OCZEKUJECIE SZCZEGÓŁÓW!!!

Kto temu zaradzi?

Cechą smętną naszego życia jest to, iż niekiedy najcodzienniejsze bolączki wymagają nie byle jakich zachodów, alarmowania rozmaitych instancji, radia i prasy, aby im jakoś zaradzić...

O! jeszcze w czerwcu wypadła ciężka płyta z okładziny, ozdabiającej ściany domu przy ul. Mickiewicza nr 8. Wpadła i potłukła się, nie powodując — na szczęście — jakiegoś strasznego wypadku. Zdawałoby się: natychmiast powinni zjawić się odnośni fachowcy, uważnie opukać wszystkie płyty okładziny, niebezpieczne uśmieć i uzupełnić nowymi. Ale od tego czasu na próżno na różne sposoby nagabuje się ob. Stanisława Frontczaka, kierownika administracji D. M. nr 1, urzędującego przy ul. Parkowej.

Wszyscy są bezradni i z trwogą spoglądają na okładzinę, a pomoc nie pojawia się!

Jak długo może trwać taka sytuacja? I czy ci — od których ona zależy — mają prawo do obojętności?

Z powodu wyjazdu
za granicę
ZYLKE POETYCKA
tanie sprzedam!
Tamże do nabycia sy-
pialnia ze złotej brzozy
i radiola!
Dzwonić codziennie
tel. 1345678!

Przegląd prasy

Z tomików „Momusa”, które ukazywały się dzięki pomysłowości Alojzego Górzki Zółkowskiego (1777—1822), wyjmujemy kilka frazsek:

Wolność druku jest ulubioną istotą, bo aż ją ścisłają.

Dawniej były głowy do pozłoty, teraz ręce wystawiają.

Kto chce mieć prędko dobre w głowie, niech nie chodzi na naukę, ale na porter.

Maż i żona sami nie zlamia wiary małżeńskie, ale przy obecnej pomocy pewno tego dokażą.

We Francji edukacja jest tak rozszerzona, że nawet chłopię po francusku mówią.

Podług teraźniejszego słownika: Obywatel pochodzi od

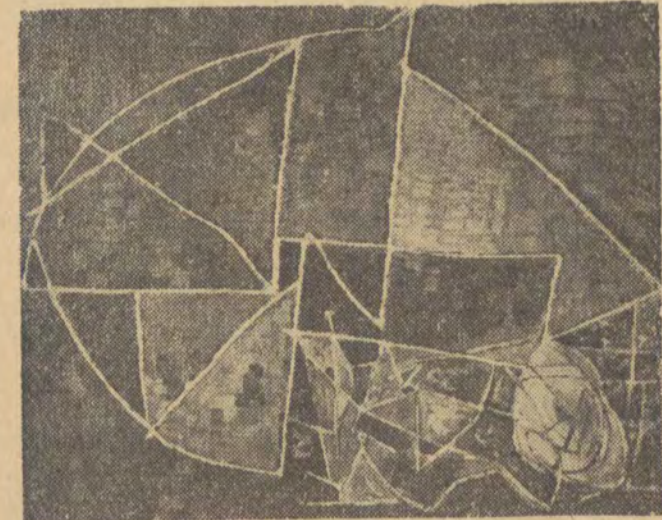
Ludzie są z gatunku tych owiec, co się same między sobą strzygą.

Adam i Ewa to były oryginały, a my to jesteśmy kopie.

Złotna kobieta podobna do róży, jak zaczyna po listku skubać, to potem same cierń nie zostaną.

Czyżby nie można wirtuozów, co same tylko arle na koncertach śpiewają, nazwać arianami?

Redaguje Zespół :: Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, Tel. 244-79 :: Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł :: Redakcja nie zwraca reklam i nie odpowiada za treści ogłoszeń. Redakcja nie odpowiada za treści ogłoszeń. Redakcja nie odpowiada za treści ogłoszeń.



traktowane bardzo swobodnie, z wielkim wyczuciem koloru i różnorodności form.

— Z jakim kierunkiem w plastyce współczesnej czuje się Pan związany?

— Jestem przeciwnikiem wszelkiego rodzaju szufladkowania i staram się unikać słowa „związany”. Kolarzy mi się ono z pojęciem akademizmu, który nakłada sztuce malarstwu sztywne kanony. Jestem zwolennikiem eksperymento-

E. PISAREK —
kompozycja (olej)
1957 r.
Zdjęcie:
J. Neugebauer



Wiadomości

Coraz częściej widuje się na mieście skutery krajowe „Osa” produkcyjne Warszawskiej Fabryki Motocykli. Warto więc może przypomnieć, iż w maju br. startująca na tych skuterach ekipa fabryczna WFM, biorąc udział w II międzynarodowym zjeździe gwiazdystów skuterów w Ludwigsfelde koło Berlina, zdobyła 8 złotych medali. To chyba coś mówi o tym najmłodszym „dziecku” polskiej motoryzacji.

A oto niektóre szczegóły techniczne tych coraz śmielej zdobywających nasz rynek „Os”: silnik jednocylindrowy, dwusuwowy, pojemności 148 cm, mocy 6,5 KM, szybkość maksymalna 80 km na godz., zużycie paliwa 2,5 l na 100 km, cena 17.000 zł. Sprzedawane są za gotówkę i na raty w sklepach „Motozbytu” przy ul. Piotrkowskiej 125 i Północnej 11.



Dlaczego

„Prezdyia Dzielnicy Rad Narodowych nie pójdą w ślady Staremijskiej, która pięknie pomalowała na biało-czerwono słupki przy znakach drogowych na terenie całej Dzielnicy?”

...na skrzyżowaniu alei Kościuszki z ulicą Andrzeja Struga nie zainstalowano światel regulujących ruch? Chyba są one tam bardziej potrzebne niż np. na skrzyżowaniu Głównej z Sienkiewicza?...

...na rogu Tuwima tuż przy Piotrkowskiej jest dziura w jezdni, powstała na skutek zapadnięcia się nawierzchni? Po każdym deszczu a nawet przejeździe polewaczki MPO w wyrwie tej zbiera się woda i przejeżdżając, nawet ostrożnie, samochody opryskują przechodniów.

...od szeregu tygodni brak w sklepach „Motozbytu” tak popularnych i poszukiwanych akcesoriów jak latek na gorąco do latania dętek oraz pompki powietrznych do pompowania kół?...



Warto się zastanowić

nad problemem całkowitego wyeliminowania wozów konnych i samochodów ciężarowych z ul. Piotrkowskiej właśnie teraz, kiedy jest ona w „generalnym remoncie”. Wydaje nam się, iż przedsiębiorstwa łódzkie dysponują już wystarczającą ilością małych samochodów dostawczych („Warszawa Pick-up”, „Nysa”, „Barkas”, „Żuk” i inne), aby całą masę towarową, przeznaczoną na zaopatrzenie sklepów położonych

przy głównej arterii naszego miasta, dostarczyć tymi wozami. Apelujemy więc do Wydziału Komunikacji: ani jednego samochodu ciężarowego na ulicy Piotrkowskiej go jej odnowieniu! I tym razem naprawę bez żadnych wyjątków...



...że na mieście mówi się w dalszym ciągu uporczywie o nadejściu nowych samochodów „Fiat” 600? Oficjalnie „dementi”. „Motozbytu” stwierdzało dyplomatycznie, iż „w najbliższych latach nie przewiduje się importu samochodów osobowych z krajów kapitalistycznych”. Tymczasem samochód „Fiat” 600 produkowany jest na licencji włoskiej również w Jugosławii, która nie jest przecież krajem kapitalistycznym, a z którą utrzymujemy żywe kontakty handlowe. Może więc spełnia się marzenia setek entuzjastów motoryzacji i miłośników tego samochodu i... „Fiaty” będą?

...że podobno jeszcze jednak w tym roku mają nadejść dawno zapowiadane „Warburgi”, choć w skromnej ilości 100 sztuk, a rozdziałem ich zajmie się „centralnie” Warszawa?...

Duże brawa

dla Wydziału Komunikacji i Miejskiego Przedsiębiorstwa Robót Drogowych za urządzenia parkingu samochodów na rogu ulicy Kiłińskiego i Jaracza, czego domagaliśmy się w naszym „Kaciku” z dnia 19 lipca br.

Dziś
krzyżówka
na
str. 5

EDWARD ETLER

Sekrety

Wagonów sypialnych

Pociąg ma dobrą prasę. Zarówno zagranicą, jak i w naszym kraju, podczas wojny, jako też prasę krajową, której życie było tak interesujące, datuje się od niedawnej premiery tego filmu. Cudzą prasa jest zresztą, przynajmniej w tym wypadku, pobłażliwa. Nili rozdawała, że po wszystkim, co się tu i owdzie napisało — powrót filmu z nagrodą im. pocztowego Mellesa wyjął się na niezły żart. W każdym razie obciążenie filmu Kawałowicza daje prawo do satysfakcji. Tym większej, gdy równocześnie postuluje się słowo pisanie, jako że „Pociąg” ma i tę także zaletę, że jak papierak lakonicznie sprawdził sens krytyk. Na razie poszczególna opinia układa się następująco: „Pociąg” to świetna robota reżysera (nazwana maścią albo kunsztem. Pewien młody twórca użył nawet bisho-tilwego określenia „podręcznik reżyserii”), doskonale złączenia i wyważona gra aktorów. Tuja, natomiast mówiąc, część znacznej krytyki przynajmniej pierwszeństwa Lucynie Winnickiej (która istotnie ma w „Pociągu” swój najlepszy film) albo Leoniowi Niemczykowski (który rzeczywiście jest w tym filmie najlepszy).

Opinie, które przytoczyłem, nie wyczerpują listy, ale dalsze można sobie darować: film — obejrzały po lekturze — stawia je pod znakiem zapytania.

„Pociąg” jest filmem opartym na obserwacji. Nie ma tu zankniętej anegdoty, bajki opowieści, ani od początku do końca. Pod tym względem film Kawałowicza przypomina obraz niedomowiany, pozabawiony szczegółów, które zastępują wyobraźnię. Tyle wystarczy, by pod akcją, która odnosi się z naga wrażliwość, że przewija się przed nami kawałek nieznanego i nieokreślonego filmu. Bez niepotrzebnych i które pomawiają reżysera, a więc bez niepotrzebnych treści i skrupulatnych wyjaśnień, tkanka fabularna „Pociągu” nie trzęsie się. Zabiegi reżyserskie Jerzego Kawałowicza podzielić trzeba na dwie grupy: literackie i reżyserskie. Reżyserskie jest w „Pociągu” nieomylne. Film zrobiono, a przede wszystkim zmontowano bez błędów ortograficznych, jakie częściej w tutejszych produkcjach i także w naszym kraju. Bez podstawowych błędów warszawskich, jakie niejednokrotnie znalazłem nawet w nawiązywających do nich polskości „Pociąg” jest czysty i precyzyjny, jakby sklejono go z doskonałością jednej klaki. Stylizacja filmu wywodzi się z prostoty linii z filmów Reeda, choćby nosił one nazwę innej różni treści wewnątrz. Tak więc „Pociąg” imponuje filmowi wywodzi się z prostoty linii z filmów Reeda, choćby nosił one nazwę innej różni treści wewnątrz. Tak więc „Pociąg” imponuje

*) To zdanie, już po zancotowaniu go zaczęło mnie budzić pewne wątpliwości. Znalazłem bowiem kilka analogii rewolucyjnych owo orzeczenie tudzież parę zwrotów z Szan. Zmarłym Neorealizmem, przynajmniej w dziedzinie „Pociągu” dowcipu jak odkrywanie figury i in.



Guliver w WFO

W zasadzie, to w plener jeździe, co w Kurza- przystanku. Regulując odpowiednio ki. Na jesienne dni, kiedy wzrost Gulivera, naucejcieł o słonce pokazuje się tylko brawo dziewczęta od czasu do czasu — usła- tajemnie mikro i makrokosmosu, wiono na pięciu w Wytwórni Filmów Oświatowych ogromną plamę Z. Józefowicz w stroju Gulivera. Na tasme będzie jeszcze Warszawa, ale najwyżej do- my nie przekroczyć wysokości jego kolan...

A zaczyna się to wszystko tak: ku, w czerwcu. Film będzie miał dziewczęta siedzące na lekcji ani dwie wersje językowe, a niektórzy nie mogą zrozumieć, co im reżyserscy zostają zdublowane, np. tłumaczy fizyk. Pomysłowy naucejcieł ucieka się do pomocy znanej postaci literackiej — Gu- livera, zwłaszczą że jedna z u- po Berlinie.

Pan Janusz Star mówi, że naj- więcej kłopotu sprawia mu Guliver między galaktykami i szy- ki postępu wiedzy. Trzeba przecież uwzględnić coraz to nowe do- świadczenia naukowców! Choćby z Księgą: Rosjanie wczoraj wysłali rakietę na Księżyc, a już dzisiaj wypada poradzisz się u nich — wysłać Gulivera na poszukiwanie poproszący. Czy propozycja się znajduje — zobaczmy wszyscy za pok, na e- kranie.

Twórca spodziewa się, iż film zyska popularność. Na podobnych filmach Disney zrobił w Stanach Zjednoczonych wielką karierę i nie mniej ejże pieniądze. Elementy egzotyki, przygody i wiedzy — światło konkludują z westernami, które po trosze panów zaczynają tam nudzić — widownie.

TADEUSZ ZAKOWIECKI



WŁODZIMIERZ KRYSIŃSKI

Krzyk tragiczny i perfekcja „KRZYKU”

Twórca filmu jest Michelangelo Antonioni, tym, że nie wie on dla jakich powodów opuszcza „Kryk” (il grido) nagrodzony został na festiwalu w Locarno. Na Zachodzie Antonioni cieszy się wielką popularnością. Wszedł do filmu jako twórca dokumentu pt. Gente del Po (Ludzie z Po- du). Ma także na swoim koncie Cronaca di un amore (Kronika miłości) oraz Le amiche (Przyjaciółki).

Odnajdując tendencje i wpływy w „Kryku” byłoby czynnością bezcelową, albowiem jako całość „Kryk” stanowi dzieło sztuki będące niezaprzeczalną własnością talentu Antonioniego. Claude Mauriac zebrał Antonioniego z Berganem, nazywając ich poetami ekranu. To pojęcie, nadawane w krytyce, odnosi się częściej do tak różnych aspektów dzieła filmowego, że niebawem dobrze wiadomo, co ono oznacza. Skądinąd — nikt jeszcze w sposób zadowalający nie zdefiniował poezji. W przypadku Antonioniego jak sądzę termin ten nie brzmi fałszywie.

Literackich założeń „Kryku” szukałbym w tych tendencjach literatury europejskiej, które pojawiły się gdzieś począwszy od dramaturgii Pirandello. Względność ludzkich zachowań, niepewność motywów ludzkiego postępowania — słowem: między człowiekiem a człowiekiem jest ciemność.

Tragedia bohatera „Kryku”, Aldo, polega na

Przebieg nie ja już z nim od dłuższego czasu nie będy. Następnie drugi eksperyment filmu Aldo schodzi z wysokości wężu, gdzieś na podwórzu fa- bryki, w której pracuje. Woła go Irma. Ma mu zakomunikować śmierć męża. Potem jakiś stu- kania, nawiązanie wśród mgły. Smutny wyjąk nad rzeką. Jakś wierzby. Błoto. Dymy wijące się ponad ziemią. Irma i Aldo są już koło siebie. Kobieta mówi mu po prostu, że umarł mąż. Zaraz potem stwierdza, że musi go opuścić. Poznała go goś innego. Kocha go już do czterech miesięcy. Nie nie pomaga próba pytań, ani nawet foliocy wymierzane przez mężczyznę na oczach filmu.

Irma go opuści. Aldo wraz z córką wyrusza na poszukiwanie miłości. Na zasadzie jakiegoś kontrastu w stosunku do sytuacji na ekranie i tragedii Aldo, pojawia się w „Kryku” ilustracja muzyczna. Stanowi ją bardzo proste motywy muzyczne, graną jedną ręką na fortepianie w górnych rejestrach klawiatury. Kilka zalet, nawet nie aktor- od jego dyspozycji. Scenariusz daje załatwić u- teksty, jest otworem o wyraznej specyfice. Przy- wodzi na myśl te jakieś przeciętne chwile, gdy obserwując czyjąś rozmowę, lub będąc mimowol- nym świadkiem jakiegoś obcego nam zdarzenia — odnosi się z nagłą wrażliwością, że przewija się przed nami kawałek nieznanego i nieokreślonego filmu. Bez niepotrzebnych i które pomawiają reżysera, a więc bez niepotrzebnych treści i skrupulatnych wyjaśnień, tkanka fabularna „Pociągu” nie trzęsie się. Zabiegi reżyserskie Jerzego Kawałowicza podzielić trzeba na dwie grupy: literackie i reżyserskie. Reżyserskie jest w „Pociągu” nieomylne. Film zrobiono, a przede wszystkim zmontowano bez błędów ortograficznych, jakie częściej w tutejszych produkcjach i także w naszym kraju. Bez podstawowych błędów warszawskich, jakie niejednokrotnie znalazłem nawet w nawiązywających do nich polskości „Pociąg” jest czysty i precyzyjny, jakby sklejono go z doskonałością jednej klaki. Stylizacja filmu wywodzi się z prostoty linii z filmów Reeda, choćby nosił one nazwę innej różni treści wewnątrz. Tak więc „Pociąg” imponuje filmowi wywodzi się z prostoty linii z filmów Reeda, choćby nosił one nazwę innej różni treści wewnątrz. Tak więc „Pociąg” imponuje

Ten film przypomina o dziele. Jego zasada dra- matyczna polega na nieodmowności, na ową ludzkich toczy się nieodgadniona, tajemnicza, za- stanawiająca.